№ 26 Warszawa, dnia 14 (26) Czerwca roku 1880.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15. Przedpłata dla GALICYI wynosi w LWOWIE w księgarni GUBRYNOWICZA i SCHMIDTA kwart. w miejscu złr. 3. na prowincyi z przesyłką pocztową złr. 3 c. 80. W KRAKOWIE w księgarni GEBETHNERA i S-ki kwart. w miejscu złr 2 c. 75 na prowincyi złr. 3 c. 50.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni LEITGEBERA i S-ki kwart. w miejscu prenumerata wynosi marek 5, na prowincyi z przesyłką pocztową marek 6. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Chmielnej Nr 1530 (nowy 20).

Zakład pani Mleczkowej.

W WARSZAWIE.

W tych dniach odebraliśmy następującą korespondencyą:

Panie Redaktorze!

Jestem z obowiązku i krwi przyjacielem dzieci, jako więc ojciec zadałem sobie pytanie, do kogo najwłaściwiej udać się w sprawie kształcenia i rozwijania dziatwy i przyszedłem do przekonania, że najstosowniej będzie poruczyć całą tę sprawę doświadczonemu już Przyjacielowi dzieci.

Rzecz się tak ma.

Mam trzy córki, niestety! od roku bez matki, z któremi umyślnie zamieszkałem w Warszawie, dla ich edukacyi. Z dwoma starszemi łatwiej dałem radę, ale co tu robić z sześcioletnią dzieweczką, dosyć zdolną, chętnie garnącą się do czytania i jedynie po dniach całych w mojem pozostającą towarzystwie?

Wchodząc w smutne moje położenie, poradzono mi posyłanie dzieciny do Zakładu p. Mleczkowej przy rogu placu Aleksandrowskiego i Wiejskiej Nr. 16 mieszczącego się; zrobiłem to i nie mogę być dość wdzięcznym za radę tak zbawienną.

Rozporządzając dowolnie czasem; bardzo często i długo bywam obecny przy zatrudnianiu dzieci w Zakładzie, prowadzonym według systemu Froebla i nie umiem dosyć słów znaleźć na godne pochwały usiłowania p. Mleczkowej spełniającej z prawdziwie macierzyńską miłością ciężki a tyle ważny obowiązek zastępstwa matki i opieki jej tak czułej a tak z niczem nieporównanej.

Mimo tego prasa warszawska milczy: o zakładzie p. Mleczkowej tak pożytecznym prawie nigdzie wzmianki nie znajdzie. A wart on jak największego upowszechnienia, aby w każdym cyrkule, w każdym mieście i miasteczku prowincyonalnym, przynajmniej jeden podobny znajdował się.

Może te słowa pisane pod wpływem uczucia ojcowskiego, trafią do przekonania ogółu, który przez poważne pisma dobrze poinformowany, sprawdzi i przyzna wszystko co powiedziałem za słuszne.

Mikołaj Kossowski.

Przed ogłoszeniem tej odezwy Szanownego pana M. Kossowskiego, postaraliśmy się rzecz całą zbadać na gruncie, i oto opis naocznego świadka ze składu redakcyi wydelegowanego.

„Zakład pani Mleczkowej istniejący przy ulicy Wiejskiej pod N. 16, pod skromną nazwą: *Zakład gimnastyki i zabaw pożytecznych dla Dzieci*, posiada wszelkie warunki jakie tylko najtroskliwsi rodzice wymagać mogą dla swej drobnej dziatwy. Za małą opłatą $3\frac{1}{2}$ rubli, dzieci od lat 3 do 10 spędzają w nim 5 godzin dziennie, od 10 do 3, na zabawie i nauce, pod dozorem i czujnem okiem ukształconej i inteligentnej osoby, jaką jest sama właścicielka zakładu, posiadająca prawdziwie wyjątkową zdolność w prowadzeniu dzieci, oraz wzbudzenia ufności ku sobie, tak dalece że zakład ten raczej *Szkołą Macierzyńską* nazwaćby należało.

Pani Mleczkowa ma jeszcze do pomocy nauczycielkę niemkę i dwie młode osoby, które ukończyły wyższe zakłady naukowe z patentami nauczycielek. Równie jak i ona sama, władają dobrze językiem francuzkim, a więc i rozmowa w językach obcych nie jest zaniedbaną. Wszedłem podczas lekcyi rysunku i podziwiałem pilność i zajęcie z jakiem dziatwa rysowała na pokratkowanym papierze różne linie i figury, z jaką uwagą słuchała nauczycielek chodzących między ławkami i pokazujących jak rysować należy.

Pomiędzy czterdziestu dziećmi, nie widziałem ani jednej twarzyczki skrzywionej, znudzonej lub nadąsanej, wszystko to wesołe i swobodne, zdrowe i czerstwe.

W ciągu dwóch godzin prawie, które spędziłem wśród tej różnorodnej dziatwy, w czasie których były śpiewy i tańce, oraz niby popis mały, nie słyszałem ani jednego wyrazu, nie spostrzegłem najmniejszego gestu, któreby na naganę zasługiwały; dzieci na pytania odpowiadały z przyzwoitą śmiałością, przytomnie i intelligentnie, widocznem było że myśl rozwija się u nich prawidłowo, bez utrudzenia i przymusu.

Pani Mleczko w nauczaniu trzyma się systemu Froeblowskiego, stopniowo rozwijającego umysł dziecka, nie przeciążając go wcale. System ten wyborny przy umiejętnem zastosowaniu, nieraz był naganiany, przez prostą niewiadomość, a raczej mieszanie dwóch imion: Karola i Fryderyka Froeblów, nic wspólnego z sobą nie mających. Ale nie tu miejsce mówić o tem, wróćmy do zakładu pani Mleczkowej.

Dzieci uczą się bawiąc; widzimy tu nagromadzone wszystko co może je zająć i władzę myślenia stopniowo rozwijać. Na ścianach wiszą wielkie kolorowe ryciny przedstawiające różne zajęcia ludzkie, rzemiosła i t. p. w szafach mnóstwo zabawek, a każda z nich ma cel swój i znaczenie. Małym np. dzieciom dają się tekturowe laleczki z których każda dźwiga jedną literę, dziecko tym sposobem prędko liter się uczy, a ustawiając laleczki składa wyrazy. Starsze mają np. odpowiednie wiekowi *loteryjki przedmiotowe*, na kartach której przedstawione są różne przedmioty przemysłu i zajęć ludzkich w rozmaitych swych przejściach. Weźmy np. len, a więc uprawa jego, zbiór, tarcie, przędzenie, wyrabianie tkanin; tu następują objaśnienia nauczycielek i okazy w naturze: nasienia, rośliny, przędzy, próbek tkanin. Jedwab, a więc po odpowiednich rycinach na tabliczce loteryjki, objaśnienie

i okazy; morwowych liści, jajek, gąsienic, poczwarek i ich oprzędów, owadów doskonałych, kokonów rozwiniętych, jedwabiu surowego i farbowanego, oraz próbki rozmaitych tkanin i t. d. Zastanowiła mnie najbardziej zabawa geograficzna dla starszych dzieci, złożona z wielkiego i pięknie wykonanego globu ruchomego, na którym przy każdym kraju drobne rycinki przedstawiają przedmioty stanowiące główną ich charakterystykę. Każde z grających dzieci ma špileczkę z odmienną chorągiewką noszącą narodowe kolory jakiegoś kraju, špileczki te zatykają w otworki koła przylegającego do globu i ten w ruch wprawiają, gdy się zatrzyma każda špileczka inną miejscowość wskaże, a właściciel opowiada o tym kraju, lub nauczycielka daje stosowne objaśnienia. Także bardzo piękna latarnia czarnoksiężka udoskonalona, ukazuje w obrazach na ścianie powiększonych, główne wypadki historyczne i t. d. Nie skończyłbym chcąc opisać wszystko co tu zebrano w celu ułatwienia i uprzyjemnienia nauki dzieciom. Niezaniedbano też i poważniejszych wykładów, starsze dzieci są w stanie zdać egsamin do klassy pierwszej gimnazyalnej. Na zdrowie dzieci zwrócono równie szczególnie baczną uwagę: lokal wygodny na parterze wychodzący na obszerny i cienisty ogród, w którym znajdują się różne gimnastyczne przyrządy do sił i wieku zastosowane, powietrze świeże i zdrowe, w miejscowości gdzie ludność mało jest skupiona, słowem wszystko się przyczynia do tego iż zwiedzając ten zakład doznaje się niezmiernej przyjemności, na widok dziatwy zdrowej i wesołej, a dziwnie przyzwoitej i grzecznej przy całej naiwności, prostocie i swobodzie wiekowi jej właściwej.

Z dniem 1 lipca rozpoczynają się w zakładzie pani Mleczkowej wykłady dla panien które już otrzymały patenta nauczycielskie, praktycznego nauczania dzieci według matowy Froeblowskiej, oraz pedagogiki.

Będzie to nader pożytecznem dla młodych nauczycielek, które w praktycznem zastosowaniu nabytej nauki wprawnemi i doświadczonemi być nie mogą. Drugą dobrą myślą, którą pani Mleczkowa wżycie chce wprowadzić w zakładzie swoim na jesienne i zimowe wieczory, jest rodzaj resursy dla starszych dzieci, któreby zbierały się na wspólne, nauczające zabawy pod jej okiem. Daj Boże aby i to się powiodło, a sądząc z tego co widziałem przekonany jestem najsumienniej, że młodzi członkowie takiego klubu więcej pożytku i przyjemności w nim znajdą, aniżeli na kostiumowych balach dziecinnych, które tylko do szkodliwej próżności je przyuczają.

Hieronim Kuczalski

PRZEZ POSŁY WILK NIE SYTY.

stara gawęda

PRZEZ

Ludwika Niemojowskiego.

Już to na onym doczesnym świecie,
Człek nie rad sobie. Rezonem butny,
Postawą dziarski, miałem ci przecie,
W niewieściem gronie feler okrutny;
Byłem nieśmiały. Gdy trafem rzadkim,
Wszedłem pomiędzy wykwintne panie,
Jak pień milczałem, choć Bóg mi świadkiem,
Żem znał czem winno być zachowanie,
Wśród cnej kompanii dostojnych osób,
Lub jędrne słowo w drużynie bratniej;
Lecz cóż poradzić gdym w żaden sposób,
Nie mógł bez szwanku wybrnąć z tej matni.
Z takim mosanie głupim felerem,
Co płeć nadobną odstręcza ino,
Nikt się nie dziwi żem kawalerem
Został, gdy łeb już świecił łysiną;
A choć nie byłem zbyt zaszły w leciech,
Bom liczył cztery krzyże z okładem,
Mawiałem sobie: „Pfe, panie Sieciech,
W ten tryb rzecz wiodąc zostaniesz dziadem,
Nieskosztowawszy wśród życia treści,
Miodów himenu.“ Lecz mógłżem gachem
Zostać, gdy byle rąbek niewieści
Wciąż mnie okrótnym nabawiał strachem?
Kiedym tak niby mnich na pokucie
Siedział potulną przybrawszy minę,
Przybyła do mej ciotki w gościnę,
Wdowa po imci panu Narbucie,
Daleka krewna naszego rodu.
Rum stał się wielki we dworcu cichem,
Więc i ja pośród tego zachodu,
Rad nie rad musiał przestać być mnichem
I wyleźć z kąta. Choćbym lat tysiąc,
W kształt biblijnego żył protoplasty,
Mogę asańswu śmiało zaprzysiądz,
Iż nie zabaczę owej niewiasty.
Z ust jej różane płynęły słówka,
Budząc miłosnej oskomy tętno,
A przytem zważcie; była to wdówka
Ciepła, z fortuną wcale ponętną.
Myślę: w konkury sunąć rzecz prosta,
Naprzód wyjawić affekt potrzeba,
Potem, niech wola spełni się nieba,
Albo kapucyn, albo starosta!
Ba! pragnąć łacno, wykonać trudno,
Zaledwiem stanął przy możnej pani,
Naraz konfuzyą czując paskudną,
Nie mogłem słowa wydobyć z krtani.
Był też tam młodzian dzielny postawą,
On tylko jeden mógł przy niewieście,
Z tyle subtelną wystąpić sprawą.
—Chcę posiąść wdówkę!... szepnę mu w ucho,
Lecz cóż? gdy język uwiązł za zębem,
Więc się do aści garnę z otuchą,
Prosząc byś zechciał być dziwosłębem.
—Bene!... wyrzecze i głowę skłoni,
Ja zaś zasiadłszy w kącie na ławie,
Śledzę jak mówi coś ścicha do niej.
Gdy ona słów tych słucha łaskawie,
Aż mi z radości dusza urosła
A pons na skronie wybiegł jak tęcza:
Toć nie żart zyskać takiego posła,
Co cię w konkurów trudzie wyręcza!
Mija dzień jeden, drugi i trzeci,
Ona się płoni, on szepcze ścicha
Ja zaś zagadnę:—Czasby waszeci,
Raz ową sprawę skończyć u licha!
Cóż, czy przystaje? Jeszcze w tę chwilę
Nie wiem co kryje niewiasta w sercu,
Lecz mogę dać wam verbum nobile,
Iż rzecz ta skończy się na kobiercu.
I znów coś szepcze w ucho niewieście
A w oczach dziwny błyszczy mu zapał;
—No, dość mitręgi! mów asan wreszcie,
Wóz-albo przewóz? Niech wiem com złapał...
Kiedy tak pytam, on z ławy wstanie,
I rzeknie wdowy imając rękę:
—Racz przyjąć wielce mościwy panie,
Od sługi twego szczerą podziękę,
Jam posiadł przez cię małżonkę czułą...
—Jakto?... zawołam. „Wkrótce w kościele
Ksiądz dłonie nasze powiąże stułą,
Potem zaś sprawim sute wesele.
—A verbum? wrzasnę, a dane słowo?
—Ono nie tknięte. Rzekłem mospanie
Iż na kobiercu stwierdzę rzecz ową,
Lecz nie mówiłem kto na nim stanie.

Ot taki finis. Zacisłszy pięście,
Wlazłem w kąt szpetną karystyą zbity,
I mówię widząc chybione szczęście:
Ba, czyż przez posły wilk kiedy syty?..

SAMUEL BROHL I SPÓŁKA.

przez

Wiktora Cherbuliez

przekład

Elizy Rostworowskiej.

(Dalszy ciąg).

Pewnego razu pan Moriaz postanowił dostać się na szczyt góry pokrytej stromemi skałami i modrzewiowym lasem, w pośród którego niepodobna było zmierzyć przestrzeni i oddalenia. Po sutym śniadaniu i trzech szklankach żelaznej wody, wyszedł na przechadzkę. Szedł dość szybko, góra stawała się coraz bardziej skalistą i stromą, trudności co chwila większe, grunt ślizgi i nierówny, dość że po trzech krokach postawionych na przód, trzeba było przynajmniej dwa w tył się cofnąć. Kroplisty pot spływał mu po czole, usiadł na chwilę w nadziei że jaki przechodzący pasterz wskaże mu drogę; lecz nikt nie przybywał. Odzyskawszy trochę siły puścił się w dalszą drogę, aż wreszcie zatrzymany został, przez długi łańcuch wysokich skał, między któremi żadnego nie mógł dojrzeć przejścia. Pan Moriaz znalazł iż byłoby to prawdziwem upokorzeniem, być tak blizko celu, a nie dosięgnąć go przecież. Wśród skał widać było płytkie wyżłobienie w rodzaju naturalnych schodów. Zebrawszy resztę sił za pomocą paznokci, dostał się na szczyt skały, lecz stanąwszy na ostatnim schodzie ujrzał przed sobą wysoką granitową ścianę, o przebyciu której myśleć nie było można, musiał więc rad nierad, zwrócić się na powrót, lecz stroma skała którą przebył z niepojętą trudnością, okazała się całkiem niemożliwą do powrotu.

Spojrzał dokoła z przestrachem; jak okiem mógł zasięgnąć wszędzie ciągnęły się strome skały i nieprzebyte urwiska, na dnie których, szumiały wezbrane potoki. Położenie było rozpaczliwe, naszemu turyście zdawało się iż przyjdzie mu życie zakończyć wśród tej dzikiej natury, w tem orlem gnieździe. Myślał z zazdrością o łatwości z jaką się przebywa zielone łąki i pola, o wielkim wynalazku jakim są drogi bite i gościńce. Mimo że się nie łudził nadzieją aby go usłyszano, zawołał po kilka razy: ratunku! lecz szum potoków zagłuszył głos wołającego. Nagle zdało mu się, że w oddaleniu słyszy głos ludzki, podwoił wołania, głos zbliżał się ciągle, aż wreszcie ujrzał na drugiej stronie potoku ludzką postać, o bladej twarzy, którą pan Moriaz widział już w czasie podróży.

— Jesteś pan uwięziony, zawołał hrabia Laryński, chwilę cierpliwości a będę przy tobie! Oblicze jego promieniało radością nareszcie miał w swym ręku tę drogocenną zwierzynę.

Oddalił się szybko przeskakując ze zręcznością jelenia wszelkie przeszkody; po chwili ukazał się znowu niosąc na barkach długi kawał drzewa a położywszy go wszerz strumienia, przebiegł przez ten improwizowany most i zaczął wdzierać się na ska-

ły, na których stał pan Moriaz, drżący z niecierpliwości by co prędzej ucałować swego wybawcę.

— Nic niebezpieczniejszego jak te strome góry, mówił hrabia. Widocznie są one nawiedzane przez jakieś zdradzieckie czarownice, które lubią płatać figla odważnym śmiałkom; ale co prawda nie jest złem co się dobrze kończy. Nim pan puścisz się w dalszą drogę, trzeba żebyś trochę pokrzepił zwątlone siły, górskie powietrze niepojęcie trawi, to też wiedząc o tem nie puszcz m się nigdy na dalszą wycieczkę, bez zapasów żywności... Jakżeś pan pobladł! dodał patrząc na starca ze współczuciem, z czułością prawie. Okryj się pan moim płaszczem dla mnie zostanie jeszcze pled i będzie nam obu ciepło. To mówiąc zdjął płaszcz i okrył nim zmarzniętego pana Moriaz. Potem otworzył podróżną torbę, którą nosił na pasku przewieszoną przez ramię, wyjął z niej chléb, jaja gotowane na twardo, pasztet ze zwierzyny i butelkę wina burgudzkiego. Usiadłszy, napełnił winem kubek wyżłobiony z łupiny kokosowego orzecha i podał go swemu towarzyszowi mówiąc:

— To pana trochę wzmocni..

Pan Moriaz wychylił do dna podaną sobie czarę, po czem odzyskał utraconą chwilowo wesołość i swobodę umysłu. Opowiedział jakim sposobem dostał się na to niebezpieczne miejsce, i jakiego doznał wrażenia. Abel wywdzięczył mu się opowiadaniem podobnego wypadku, który go spotkał w Karpatach. Łatwo zawiązujemy przyjazne stosunki, z człowiekiem który wyprowadził nas z trudnego położenia, napoił gdyśmy spragnieni, nakarmił gdy głodni. Lecz bez tego nawet pan Moriaz byłby musiał przyznać że hr. Laryński był człowiekiem z najlepszego towarzystwa i nadzwyczaj przyjemnym w rozmowie.

Po skończonym posiłku rzekł całkiem już uspokojony profesor:

— Zapominamy że czas upływa a ja mam szczęście być ojcem ślicznej córki, która pewno myśli że mnie między temi skałami spotkała śmierć: muszę spieszyć uspokoić ją.

Hrabia Abel podał rękę panu Moriaz i przeprowadził aż na drugą stronę potoku, potem aż do stóp góry. Gdy weszli na równą drogę, rozmowa zawiązała się napowrót. Abel miał wiele wiadomości i jakeśmy to już powiedzieli, wielki dar zapytywania. Zwrócił rozmowę na lodowce i skały erratyczne; pan Moriaz był zachwycony sposobem w jaki go zapytywał, i jako członek Akademii rad temu, że wybawca jego był człowiekiem rozumnym.

Przechodząc przez gęste zarośla usłyszeli wołanie, zbliżywszy się do miejsca zkąd głos dochodził, spostrzegli góralskiego przewodnika, którego panna Moriaz śmiertelnie niespokojna o ojca, wysłała na jego spotkanie. U stóp góry zastali też samą Antoninę idącą w towarzystwie panny Moiseney. Blada, wzruszona, upadająca prawie ze zmęczenia, usiadła na brzegu urwiska. W wyobraźni jej snuły się straszne obrazy, widziała postać ojca leżącą na dnie przepaści, bez życia, a gdy podniósłszy oczy ujrzała go idącego swobodnie, okrzyk radości wyrwał się z jej piersi. Powstawszy pobiegła ku niemu.

— Tak moja droga, rzekł jej pan Moriaz, byłem więcej szczęśliwym jak rozsądnym. Chcąc ci przedstawić mego wybawcę, muszę go zapytać o nazwisko.

Hrabia Abel zdawał się niesłyszéć ostatnich wyrazów. Zaręczając iż pan Moriaz przecenia wartość usługi jaką mu oddał, chłodno skłonił się Antoninie i odszedł szybko, jak to czynić zwykli ludzie nielubiący zawierać nowych znajomości. Już był daleko gdy pan Moriaz zajęty opowiadaniem całego zdarzenia spostrzegł iż miał na sobie płaszcz swego wybawcy. Włożywszy rękę w kieszeń znalazł w niej notatkową książeczkę i karty wizytowe hr. Abla Laryńskiego.

Spocząwszy, ojciec Antoniny obszedł wszystkie miejscowe hotele, w celu odszukania nieznajomego, lecz daremną zadawał sobie pracę, gdyż pan Laryński nie mieszkał w miasteczku. Dopiero wieczór góral przysłany po płaszcz, opowiedział że hrabia Abel znajdował się w sąsiedniej wiosce.

Panna Moiseney dobrze życzyła Ablowi Laryńskiemu, najpród dlatego że był piękny, potem że grał na fortepianie po mistrzowsku. Nie wątpiła o tem że Antonina wdzięczną mu jest za pomoc udzieloną ojcu, to też w przekonaniu że teraz podzieli jej zdanie, rzekła do swej wychowanki z uśmiechem który miał niby być figlarnym:

— No, moja droga, czy jeszcze znajdujesz że hr. Laryński ma głowę źle osadzoną?

— To rzecz małej wagi, ale nie zmieniłam zdania.

— Ach! żebyś słyszała jak on pięknie gra utwory Szumana!

— Być może, największą jednak jego zaletą jest że umie potrzebującym przyjść z pomocą.

— Ja bo patrząc na niego zaraz domyśliłam się, że człowiek ten ma wzniosłą duszę i szlachetne serce. Raz spojrzę tylko i wiem co kto wart. A po chwili milczenia mówiła dalej:

— Gdybym śmiała powiedziéć ci co myślę?

— Mów, twoje myśli bawią mnie czasem.

— Czy ci się nie zdaje że hr. Abel Laryński może być autorem pewnego bileciku?

— Dlaczegóżby on prędzej jak kto inny? rzekła Antonina, nie czyń mu tej krzywdy, wygląda na porządnego człowieka, a porządni ludzie nie piszą bezimiennych listów.

— Oh! ten był tak niewinny, bądź pewną że napisał go w najlepszej myśli.

— Więc przypuszczasz że może być pełen dobrej myśli człowiek, który chce odebrać sobie życie i wtedy dopiero zmienia zamiar, gdy na pierwszym lepszym gościńcu spotyka pannę Antoninę Moriaz?

— Dlaczegóżby nie? odparła panna Moiseney patrząc na Antoninę z wyrazem pełnym uwielbienia. Wiesz przecie że Polacy mają gorące serca i trochę zapalone głowy, trzeba wybaczyć Laryńskiemu to, co by się wzięło za złe Paryżaninowi.

— Przebaczę mu pod warunkiem że dotrzyma obietnicy i nigdy nie da się poznać, jest to głównym obowiązkiem nieznajomego. Nie wymienił swego nazwiska, to dobrze o nim świadczy, lecz jeżli w przyszłości zbliży się do nas, straconym będzie w moich oczach... Żal mi cię moja droga, dodała śmiejąc się Antonina, ty byś tak pragnęła słyszéć jedną z tych pieśni bez słów, które tak dobrze gra pan Laryński; a jeśli on ten list napisał, sam skazał się na to, że niewolno mu pokazać się w naszym domu. Cóż ty uczynisz? położenie jest nader trudne.

W kilka dni potem rzecz całą roztrzygnął sam pan Moriaz. Przechadzając się z cygarem w ustach po hotelowem podwórzu, spostrzegł hr. Abla Laryńskiego idącego drogą prowadzącą ku wsi. Zanosiło się na burzę, czarne chmury ciągnęły po niebie, nawet deszcz zaczynał już kropić. Pan Moriaz pobiegł za odchodzącym, a uchwyciwszy go za rękę zawołał:

— Uratowałeś mi życie, pozwól pan że ja cię od deszczu uratuję. Chciej wstąpić do nas, zjemy razem obiad.

Abel wymawiał się jak mógł najlepiej, lecz grzmot coraz silniejszy dawał się słyszéć, pan Moriaz wziąwszy pod rękę, przemocą prawie wprowadził do swego mieszkania.

— Antosiu! zawołał wchodząc, przedstawiam ci hr. Abla Laryńskiego, nieocenionego człowieka, ale trochę odludka. Musiałem użyć siły aby go tu wprowadzić.

Hrabia odpowiedział tylko przymuszonym uśmiechem wyglądał trochę jak więzień; ale jako człowiek światowy i dobrze wychowany, nie okazał najmniejszego niezadowolenia. W czasie obiadu był poważnym, względem Antoniny zachowywał przez cały czas pewien rodzaj obojętnej grzeczności, więcej uprzejmości okazywał pannie Moiseney, a całą swą uwagę i względy zwrócił ku panu Moriaz. Jego jedynie zapytywał, słuchając odpowiedzi z niezrównaną uwagą, co pochlebiać zwykło każdemu profesorowi. Przy czarnej kawie jednak, pierwsze lody były już przełamane. Hrabia Abel wiele podróżował, znał Stany-Zjednoczone, Turcyą, był w San-Francisko, w Bukareszcie i Konstantynopolu. Umiał patrzéć jasno na świat i ludzi, badał obyczaje, prawa, kraje, okolice, miasta, mieszkańców, wszystko prócz mieszkanek, które nie zdawały się wcale zwracać jego uwagi, gdyż były one całkiem wyłączone z opowiadania pełnego dowcipu i wdzięku. Niekiedy nawet promień wesołości przelotnie rozjaśnił mu czoło, a Antonina patrząc na to, mimowoli porównała oblicze jego do górskiego krajobrazu, gdzie łączą się harmonijnie szumiące sosny, mroczne skał szczyty, białe przezroczyste lilie i błyszczące fale jeziora.

Powaga powróciła na oblicze jego gdy pan Moriaz zwrócił rozmowę na rodzinne strony.

— Biedny mój kraj, rzekł ze smutkiem, żydzi zawładnęli nim zupełnie prawie. Zręczni, przemyślni, nieprzebierający w środkach, korzystają z naszej nieprzezorności, a mają tę jeszcze wyższość nad nami, że my żyjemy z dnia na dzień, a oni myślą o przyszłości. Pogardzamy żydem, a nie możemy obejść się bez niego. Nas pali pragnienie, on podaje czerę z napojem; nie mamy nigdy gotowych pieniędzy, on nam ich dostarcza, prawda na olbrzymie procenta, którym nie jesteśmy w stanie zadość uczynić, on też zabiera nasze kosztowności, ziemie i pałace. Zemstą naszą jest upakarzające z nim obejście i obelżywe wyrazy, jakiemi zwykle ich obrzucamy, nie rozumiejąc że jedynym środkiem ratunku dla nas, jest pozbycie się wad z których żydzi korzystać umieją.

W końcu hr. Laryński oświadczył, iż nie był wcale uprzedzony względem potomków Abrahama i że podzielał zdanie jednego z publicystów niemieckich, który powiedział: że każdy naród ma w swem łonie żydów takich, jakich miéć chce i na jakich sobie zasłużył. I w istocie, ciągnął dalej, w Anglii, we Francyi, wszędzie gdzie równouprawnienie żydów wcześniej wprowadzono, stali się oni żywiołem zdrowym i podnoszącym dobrobyt kraju, gdy przeciwnie są pijawkami społeczeństwa pogardzającego nimi.

— Sama sprawiedliwość tego wymaga! zawołała panna Moriaz.

Poraz pierwszy hrabia zwrócił się w prost do Antoniny i rzekł z uśmiechem:

— Czy być może! pani jesteś kobietą i mimo to masz poczucie sprawiedliwości?

— Pana to zadziwia? odparła, czy kobiety nie zalecają się tą cnotą?

— Jedna z moich znajomych, ciągnął dalej hrabia, mówiła mi, że gdyby chciano usunąć wszystkie niesprawiedliwości jakie się popełniają na świecie, musianoby też usunąć dobroczynność i jałmużnę.

— Nie podzielam wcale jej zdania, rzekła Anto-

nina, gdy dają jałmużnę zdaje mi się owszem iż spłacam dług społeczeństwu.

— Córka moja jest trochę socyalistką, zawołał pan Moriaz, spostrzegam to co rok gdy robię rachunki jej osobistych wydatków; i to jeszcze wielkie szczęście że pozwala mi je robić, gdyż sama nigdy nie nakreśli jednej liczby.

— Rad jestem że panna Moriaz ma choć jedną polską wadę, rzekł Abel.

— Czy to jest wadą? zapytała Antonina.

— Artmetyka jest najpiękniejszą nauką, jest matką ostrożności, rzekł pan Moriaz, a zwracając się do hrabiego dodał: To niebezpieczna istota, pełna liberalnych pojęć, przeciwnych nawet porządkowi towarzyskiemu. Znajduje naprzykład, iż ludzie nie będący w stanie zadość uczynić potrzebom codziennym życia, mają zupełne prawo do pieniędzy których bogacze używają na zbytki.

— Naturalnie, rzekła Antonina.

— Naprzykład, ciągnął dalej pan Moriaz, w liczbie swoich protegowanych, ma w Paryżu niejaką pannę Galet, czy Galard...

— Galet, rzekła panna Moiseney, która niecierpliwie czekała na sposobność wtrącenia choć jednego wyrazu.

— Otóż owa Leontyna Galet mieszka na ulicy Muffetard pod N. 25.

— Pod N. 27, poprawiła poważnie panna Moiseney.

— Jak zwykle jesteś pani tego pewną...

— Zupełnie pewną.

— Niechże i tak będzie, rzekł pan Moriaz. Więc owa panna Galet czy Galard mieszkająca pod N-rem 25 czy 27 na ulicy Mouffetard, była niegdyś kwiaciarką, ale rzemiosło to dzisiaj nie przynosi jej już ani grosza. Nie chcę zgłębiać tajemnic jej przeszłości, co łatwo przyszło, łatwo i pójdzie. To tylko pewne że panna Galard...

— Galet, wtrąciła krzywiąc się panna Moiseney.

— Jest dziś zupełnie niedołężną i godną politowania dobroczynnych ludzi. Panna Moriaz płaci jej roczną pensyą, przeciwko której naturalnie nie mam słowa do powiedzenia; lecz panna Galet... przepraszam Galard, zachowała z dawnych czasów wielkie zamiłowanie do kwiatów, przez całą więc zimę panna de Moriaz kupuje dla niej co tydzień świeży bukiet, co podług mnie nie ma żadnego sensu. W Zeszłym roku na przykład sprowadziła dla niej w styczniu najpiękniejsze fijołki. Panie Laryński osądź pan, czy to jest potrzebne?

— Jest to nierozsądek godny uwielbienia, najidealniejsze szaleństwo, odrzekł hrabia.

— Kwiaty które dla niej kupuję, pięknością swą nigdy nie dorównają tym, jakiemi mnie obdarzono przed kilku dniami, zawołała panna Moriaz.

Mówiąc to wybiegła do przyległego pokoju zkąd wyniosła tajemniczy bukiet, a zbliżywszy się do hr. Abla rzekła:

— Patrz pan jaki jeszcze piękny, choć stracił już wielką część swej świeżości.

Obejrzawszy bukiet hrabia oddał go właścicielce, bez najmniejszego pomieszania, tak że panna Moriaz powiedzieć sobie musiała:

— Nie! to z pewnością nie on.

W rogu pokoju stał fortepian. W chwili gdy hr. Abel powstał by pożegnać towarzystwo, panna Moiseney zaczęła go prosić aby dał poznać pannie Moriaz swój znakomity talent. Na czoło młodzieńca wystąpiła lekka zmarszczka, oblicze jego zachmurzyło się, a dając za powód zpóźnioną już porę, wymówił się grzecznie, obiecując jednak innym razem, jutro może wynagrodzić dzisiejszą niemożność.

Gdy wyszedł odprowadzony przez pana Moriaz, Antonina rzekła do swej towarzyszki:

— Widzisz, że nie on jest autorem listu.

— Przypuśćmy że tym razem się omyliłam, ale przyznasz przynajmniej że jest bardzo przystojny?

— Jak ci się tylko podoba. Wiesz o czem ja myślałam patrząc na niego? O zaklętym pałacu w którym ukazują się duchy powracające z innego świata. Chciałabym poznać się z temi duchami.

Mimo uczynionej obietnicy hr. Laryński nie powrócił jak w trzy dni potem, ale tym razem grał ile i co tylko chciano. Miał zadziwiającą pamięć, a przytem wiele czucia i artyzmu. Śpiewał też bardzo pięknie, miał prawdziwy brylant w krtani i umiał z niego korzystać. Zanuciwszy kilka smętnych małoruskich dumek, zaczął śpiewać jedną ze znanych pieśni polskich; lecz nie był w stanie dokończyć, łzy napełniły jego oczy, wzruszenie głos stłumiło. Powstał tłomacząc się ze słabości charakteru i ze śmieszności jaką się okrył; lecz jedno spojrzenie rzucone w przelocie na pannę Moriaz przekonało go, jak w chwili tej śmieszność była daleką od niego.

W okolicach górzystych, gdzie wieczory są niepojęcie długie, drogocennym nabytkiem jest młody Polak umiejący równie dobrze śpiewać jak rozmawiać. Pan Moriaz lubił muzykę i wiele innych rzeczy. Gdy naprzykład doktór zakazał mu pracować, po obiedzie senność go ogarniała, a że i drzemka przy kuracyi nie jest rzeczą pozwoloną, więc dla rozbudzenia się najchętniej siadał do zielonego stolika. W braku innego apartnera, grywał z panną Moiseney, ale nie lubił patrzeć z tak blizka, na zwiędłą twarz i pomarańczowe wstążki starej panny. Pewnego dnia zaproponował Ablowi Laryńskiemu, czy by nie zechciał dotrzymać mu towarzystwa; wniosek został przyjęty a zadowolony profesor osądził że młody hrabia, jest człowiekiem do wszystkiego, i polubił go serdecznie. Z tego wynikło, że przez następny tydzień hr. Laryński wszystkie wieczory spędzał u państwa Moriaz. Panna Moisnney mówiła codzień do Antoniny:

— Samolubstwo twego ojca oburza mnie, gdzież można takiego człowieka zajmować kartami. Zobaczysz że nie powróci tu więcej!

Jednak przepowiednia ta nie sprawdzała się nigdy, hr. Laryński powracał co wieczór.

Razu pewnego pan Moriaz popełnił małą nieostrożność. Zbierając lewę, zapytał Abla, kto był jego nauczycielem muzyki.

— Mam zawsze przy sobie jego portret, odparł zagadnięty.

Wydobywszy z kieszeni medalion, wręczył takowy panu Moriaz, który popatrzywszy nań podał go córce. Portret ten wyobrażał kobietę o blond włosach, niebieskich oczach, delikatnie zarysowanych ustach, bladej i chorobliwej cerze, z łagodnym i smutnym wyrazem twarzy. Było to oblicze anioła, lecz anioła który żył na ziemi, czuł i cierpiał.

— Cóż to za idealna postać! zawołała panna Moriaz.

W istocie była ona anielską. Ktoś, kiedyś powiedział, że Polka, jest jak poncz przyprawiony na wodzie święconej. Wolno nie lubić ponczu i wody święconej, a jednak lubić bardzo Polki, które są jedynym z najdoskonalszych rozdziałów wielkiej księgi stworzenia.

— To portret mojej matki, rzekł hr. Laryński.

— Czy masz pan szczęście posiadać ją na tym świecie jeszcze? zapytała panna Moriaz.

— Była to istota nadziemska, a takie nie żyją długo, odrzekł zagadnięty.

— Dość raz spojrzeć aby potrafić ją ocenić, widać że cierpiała, ale i przebaczyła życiu.

Po raz pierwszy hrabia w postępowaniu z Antoniną pozbył się zwykłej, lodowatej sztywności.

— Nie uwierzysz pani! zawołał z zapałem, jak jestem szczęśliwy, że ci się twarz matki mojej podoba.

Otello został oskarżony iż użył tajemnych czarów aby być kochanym przez Dezdemonę. Brabancyo powinien był obwinić samego siebie, że polubiwszy Otella, wzywał go często do domu swego, a choć nie kazał mu grać z sobą w karty, zapytywał jednak o przeszłość. Maur opowiadał przebieg swego życia, koleje i cierpienia swoje, a Dezdemona płakała. Ojcowie zapytują, bohaterowie, lub awanturnicy opowiadają, córki płaczą. Stara to jak świat historya. Abel Laryński wstał od stolika i usiadł w krześle naprzeciwko panny Moriaz. Zapytywano go, on odpowiadał.

Życie Abla nie było ani łatwe ani wesołe. Ojciec jego hr. Witold Laryński zmuszony przez okoliczności opuścił strony rodzinne, udał się do Ameryki wraz z żoną i synem, pełen nadziei i marzeń, lecz nic nie dokonawszy umarł zostawiając rodzinę w najstraszniejszej nędzy. Wtedy biedna wdowa rzekła do syna:

— Nie mamy sposobu do życia, ale czyż nam koniecznie żyć trzeba?

Mówiąc to miała na ustach anielski uśmiech. Przeszedłszy do Kaliforni, Abel zajął się najcięższą pracą, był tragarzem, zamiatał ulice, robił wszystko co przynieść mogło zarobek i uchronić ukochaną matkę od głodowej śmierci. Odmawiając sobie najniezbędniejszych potrzeb, posełał jej pieniądze, z czasem jednak położenie jego stało się mniej opłakane i wtedy wezwał matkę do siebie. Niezadługo przybyła do San-Francisko, ale że aniołowie nie mogą przebywać pomiędzy istotami szukającemi złota jedynie, ona też pewnego dnia rozwinęła swe białe skrzydła i uleciała do lepszej krainy. W kilka miesięcy po śmierci matki hr. Abel powrócił do stron ojczystych.

Otello mówił Dezdemonie o otchłaniach, puszczach, skałach, których wierzchołki sięgały nieba, i o dzikich ludziach. Hr. Abel opowiadał pannie Moriaz o zawiedzionych nadziejach, o nocach spędzanych pod gołem niebem wśród lasów, o trapiącem go pragnieniu i głodzie; mówił o zniechęceniu, zgodzeniu się z losem i sieroctwie.

Opowiadanie to napiętnowane było szczerością i prawdą. Mówił spokojnie, potoczyście, bez przesady, niekiedy oczy jego rzucały iskry świecące, głos drżał, potem znów powracał spokój. Na zakończenie zaś rzekł: W młodości swojej człowiek chciałby biedz ciągle, dalej, naprzód! potem przychodzi chwila gdzie potrzebuje zatrzymać się i spocząć. Ja spoczywam, spoczynek mój niezbyt wygodny, lecz gdy niekiedy skarga na usta się ciśnie, przypominam sobie matkę moją i milczę.

— Coś pan robił przez ostatnie lata? zapytał pan Moriaz, który lubił każdy przedmiot należycie wyczerpać.

— Ah! wybacz pan, odparł zagadnięty, o tem wolę zamilczeć, był to czas najgorzej użyty. Niedarmo jestem synem człowieka, który żył ciągłemi mrzonkami. Ja także marzyłem o wynalezieniu nowego systemu broni palnej. Straciłem cztery lata nad tą niewdzięczną pracą, na zniweczenie której wystarczyła jedna chwila, gdyż pierwszy wystrzał rozsadził strzelbę.

Tu w kilku dowcipnych wyrazach, streścił historyą swego wynalazku, swych nadziei, złotych snów i doznanego zawodu.

— Jest jedna dobra strona w tej niewesołej historyi, mówił hrabia, a mianowicie to, że jestem już raz na zawsze wyleczony, z wszelkiego rodzaju ma

rzeń, i nieuzasadnionych nadziei teraz muszę nagrodzić minione niedorzeczności. Po skończonej kuracyi powracam do Paryża, by tam rozpocząć pokutę.

— Jaką pokutę? zapytał jeszcze pan Moriaz, Paryż nie jest pustelnią.

— To też nie myślę zostać pustelnikiem, odparł bez wahania zagadnięty, chcę owszem dawać lekcye muzyki i języków.

— Na seryo? zawołał pan Moriaz, i nie widzisz przed sobą innej karyery mój hrabio?

— Przestałem być hrabią, odrzekł Abel z uśmiechem. Proszę nazywać mnie poprostu, panem Laryńskim.

Umilkł i przez chwilę siedział nieruchomy jak posąg, z oczyma utkwionemi w jeden punkt; wreszcie przetarłszy czoło ręką, spojrzał dokoła, jak człowiek zbudzony ze snu i rzekł z pewnem pomieszaniem:

— Ah! wybaczcie państwo, od godziny mówię wam ciągle o sobie. Jest to najniedorzeczniejszy sposób użycia czasu, to też obiecuję iż się to nigdy nie powtórzy.

Powstał, a wziąwszy za kapelusz wyszedł.

Pan Moriaz długo w milczeniu przechadzał się po pokoju, wreszcie rzekł:

— Ten człowiek jest dziwnie wymowny, poruszył mnie do głębi swemi słowy. Jedyna rzecz która mi się niepodoba, to ta nieszczęsna strzelba. Kto pił, pić będzie. Kto miał pociąg do wynalazków, mieć go tak łatwo nie przestanie. Nikt jeszcze nie zatrzymał się przy pierwszej strzelbie.

— Ah! proszę pana! zawołała panna Moiseney, czybyś nie mógł wstawić się do ministra wojny, aby przyswoił we Francyi strzelbę pana Laryńskiego?

— Jesteś pani nieprzyjaciołką własnego kraju, odparł pan Moriaz. Chcesz chyba jego zguby? nie dość ci straconej Alzacyi?

— Jestem przekonaną że broń wynaleziona przez pana Laryńskiego jest arcydziełem, a sam wynalazca geniuszem.

— Jeźli pani poręczysz słowem, rzekł pan Moriaz, niewątpliwie że rząd francuzki, nie zawaha się ani chwili przyjąć postanowionego przez nią wniosku.

Panna Moriaz nie brała żadnego udziału w tej rozmowie. Wsparta na dłoni, zagłębiona w myślach, nie słyszała nawet co się w koło niej działo. Trzymając w ręku nóż z kości słoniowej, wodziła nim po widocznych słojach mahoniowego stolika, na którym była oparta. Na wpół przymknięte jej oczy, zapatrzone w przestrzeń, zdawały się widzieć dalekie brzegi Ameryki, a na nich anielską postać młodej polki, matki Abla Laryńskiego. W wyobraźni jej snuły się dzikie lasy, zarośla i puste pola, wreszcie na zakończenie spostrzegła strzelbę i serce człowieka, które za pierwszą próbą rozsadzone zostały.

Podniosła się, pożegnała ojca i nie rzekłszy ani słowa, odeszła do swego pokoju. Przechodząc przez bawialnię, spostrzegła na fortepianie leżącą książkę, widzianą wprzód w ręku hrabiego. Był to zapomniany przez niego tomik zawierający jeden z utworów Szekspira. Wziąwszy książkę do ręki, Antonina spostrzegła na pierwszej kartce podpis Abla, a rzuciwszy nań okiem poznała pismo.

Zamknąwszy się w swoim pokoju myślała długo o Kalifornii i o Polsce. Porównywała Abla Laryńskiego do wszystkich znanych przedtem ludzi i w końcu spostrzegła, iż nie był do nikogo podobny. A przecież on to napisał do panny Moriaz: „Przybyłem w te strony znużony życiem, grobowo smętny i zniechęcony. Spotkałem ciebie i odzyskałem siły do życia. I żyć będę.“

Zdawało jej się że przez długie lata szukała kogoś i że przybywszy tu, między dzikie urwiska i góry, znalazła go nareszcie.

(d. c. n.)

WYSTAWA TKACKA.

Urządzona w pałacu Brühlowskim

staraniem Komitetu Muzeum przemysłu i rolnictwa,

otwarta 6 maja 1880 r.

(Dalszy ciąg).

Sala F. Całą jedną ścianę tej sali pokrywają okazy z fabryki C. A. Mayerhof ze Zgierza, a przeważnie odcinki różnego rodzaju kortów. Fabryka ta założona w 1861 r. w następnych latach, a mianowicie 1869 i 1873 została znacznie powiększona i zaopatrzona w maszyny najlepszych systemów: wyrabia sukna i korty i wyroby swoje sprzedaje po większej części do Moskwy, Petersburga i Rygi, roczna produkcya dochodzi do 1,000,000 rs. Robotników pracuje 350. Wełnę, węgiel kamienny i inne potrzebne produkta, fabryka zakupuje przeważnie w kraju: oliwę, jedwab' i farby sprowadza z zagranicy.

Pan Heinzel Juliusz wystawił tu wyroby wełniane i półwełnianie z fabryki swojej mechanicznej w Łodzi. Odznaczają się gustem i bardzo umiarkowaną ceną. Fabryka ciągle powiększana, istnieje od r. 1864, posiada 700 warsztatów mechanicznych, maszynę parową o sile 500 koni, farbiarnię parową dla surowego i wykończonego materiału, oraz apreturę. Zatrudnia 1800 robotników, a między nimi jest 200 tylko cudzoziemców; z ogólnej liczby pracowników $^{2}/_{5}$ wypada na mężczyzn, $^{1}/_{3}$ na kobiety i dzieci od lat 13 wieku. Przędza wełniana i półwełniana, przerabiana w fabryce sprowadzana jest z Anglii; roczny obrót wynosi 2,300,000 rs. Fabryka licznie przedstawioną jest na Wystawie, wyroby dobre i stosunkowo tanie, zwłaszcza że ceny oznaczone są nie za łokieć ale za arszyn (1 $^{1}/_{4}$ łokcia), najniższe 17½ k., do 40 kilku, jeden tylko podwójny czarny kamlot 51 k. i czarna popelina 1 rs. 5 k. Katalog obejmuje dwadzieścia kilka rodzai wyrobów a gatunków 60. P. Heinzel postawił przy fabryce obszerny budynek o dziewięciu pawilonach, w którym urządzone są mieszkania dla 1,500 robotników, ochronę dla mniejszych i szkołę dla starszych dzieci. Założono także kasę wsparć dla robotników, z której w razie choroby pobierają zasiłek, a w razie śmierci robotnika, pozostała rodzina otrzymuje 15 rs. na pogrzeb.

P. Hentschel Edward, w Łodzi, wystawił wyroby wełniane, mianowicie: chustki, kołdry wełniane, flanele oraz korty zimowe i letnie. Fabryka posiada 130 warsztatów poruszanych w części parą, w części ręczną pracą, zatrudnia 250 robotników, wyłącznie krajowców.

W tejże sali *F.* mieszczą się wyroby z fabryki p. Izraela Poznańskiego, w Łodzi, mianowicie perkale surowe i białe, ręczniki bawełniane, kreas bluchowany, piki i satinety białe oraz przędza bawełniana: wszystkie te wyroby są bardzo pięknie bluchowane, a ceny położone na nich bez porównania niższe niż za nie w sklepach płacić każą. Fabryka ta założona w 1873 rozwija się ciągle i wzrasta; przy założeniu obejmowała 200 warsztatów tkackich mechanicznych, których liczba ciągle powiększana doszła w 1876 do 640, umieszczonych w olbrzymiej sali odpowiednio zbudowanej liczącej 32,300 stóp kwadratowych przestrzeni. W r. 1877 urządzono gisernię i fabrykę maszyn, w następnym 1878 przędzalnię bawełny o 43,270 wrzecionach, pomieszczonych w jednym pięciopiętrowym budynku; a fabrykę tkacką powiększono o 288 warsztatów. W zakładach tej fabryki, oprócz techników, starszych majstrów i oficialistów, pracuje 1290 robotników, wyłącznie krajowców, z tej liczby 356 mężczyzn dorosłych, 614 dorosłych kobiet i 320 młodszych robotników i robotnic, od lat 13. Wartość ogólnej rocznej produkcyi wynosi 3,750,000 rs. Domy mieszkalne zbudowane dla robotnikow obejmują 181 pokoi, w razie choroby, pracownicy mają zapewnioną bezpłatną pomoc lekarską i stosowne wsparcie.

W tejże sali jest wystawiona kapa na poduszkę frywolitkowej roboty p. Zofii Reinhard i maszyny tkackie z zakładów p. Wieczorka z Białegostoku.

Sala G. Ponieważ królom należy się pierwszeństwo, więc opis wyrobów przedstawionych w tej sali, zaczynamy od witryny króla bawełnianego p. Scheiblera, którego zakłady w Łodzi, zaliczają się do najpierwszych w Europie. Zakłady te dają przykład i niezaprzeczony dowód, co może zdolność połączona z odpowiedniem wykształceniem i niezmordowaną pracą, które stanowiły jedyny zakładowy kapitał pana Scheiblera.

Fabryka p. Scheiblera wyrabia kilkanaście rodzai wyrobów bawełnianych, mianowicie: kretony szyrtingi w kilku gatunkach, kreasy, piki, dymki damasty, nankiny, żaknoty, merle, embast i metkal wszystkie prawie w niższych i wyższych gatunkach i cenach. Według katalogu najwyższa cena 27 kop. najniższa 9 $^{1}/_{2}$ kop. za arszyn, a więc odnośnie do wyrobu są to ceny bardzo umiarkowane. Szkoda że olbrzymie te zakłady tak maluczko wystąpiły na Wystawie; widzimy w witrynie tylko trzydzieści parę paczek przędzy i takąż prawie liczbę sztuk białych i kolorowych perkali, półpłócien i nankinów — to trochę zamało i nie daje dostatecznego wyobrażenia o ich wyrobach.

W zakładach jest cztery przędzalnie przerabiające rocznie około 400,000 pudów różnej przędzy, trzy tkalnie mechaniczne o 3,600 warsztatach, wyrabiających rocznie przeszło milion sztuk, to jest 50 do 60 milionów różnych tkanin, oraz Blicharnię, Farbiarnię i Apreturę. Wszystkie te zakłady wznoszą się blizko jedne od drugich na przestrzeni 15 morg polskich, a 6-cio wiorstowa kolej żelazna łączy je z sobą i ze stacyą drogi żelaznej fabryczno-Łódzkiej. Roczny obrót wynosi do 10,000,000 rs. Wszystkie zakłady p. Scheiblera odznaczają się wzorowem i nader praktycznem urządzeniem i porządkiem „aby dać pojęcie o ich ogromie, pisze „*Ekonamista*“ powiemy, że nitka przędzy osnutej w nich w przeciągu 36 minut roboczych, wynosi 37,000 wiorst długości, możnaby więc opasać nią ziemię na około równika. Długość tkanin wyrobionych w ciągu dnia, wynosi wiorst 110, więc dziesięcio dniową produkcyą, możnaby zasłać całą drogę do Paryża lub Petersburga.“ W zakładach fabrycznych pracuje około 5,000 robotników i oficialistów, a tygodniowe ich zarobne i płace wynoszą 24,000 rs. do tego wszyscy pracownicy mają mieszkanie darmo lub za bardzo nizką cenę. W razie choroby wszystkie bez różnicy osoby pracujące w fabryce mają zapewnioną bezpłatną pomoc lekarską i odpowiednie wsparcie: obecnie istniejący czasowy szpital zostanie zastąpiony oddzielnym gmachem jaki ma stanąć w roku przyszłym, w którym także stanąć ma dom schronienia dla starców i kalek niezdolnych do pracy. Dla dzieci robotników urządzona jest ochrona na wzór szkółki Froeblowskiej, starsze zaś uczą się w szkółce elementarnej mogącej

pomieścić 260 dzieci, przy której jest czterech nauczycieli. Oprócz tych dogodności, p. Scheibler ma zamiar urządzić jeszcze ogólne kąpiele i pralnię.

Witrynę p. Scheiblera zdobią widoki wszystkich jego zakładów.

M. Silberstein z Łodzi, wystawił kaszmiry czarne, repsy czarne wełniane i pół-wełniane, repsy kolorowe pół-wełniane, kamloty czarne i wyroby wełniane kolorowe. P. Silberstein posiada drugą jeszcze fabrykę w Pabjanicach, roczny obrót obu wynosi 800,000 rs.

P. Julian List, dał wyroby jedwabne czarne w kilku gatunkach; ceny przeciętne od około 2 rs. do 3 kop. 26; przedstawiają się dość pokaźnie, o gatunku jednak nie możemy nic powiedzieć, gdyż można je tylko widzieć przez szyby w dość głębokiej rozpiętej szafce, a więc ocenić wartości i miękkości prawie niepodobna. Fabryka ta założona została w r. przeszłym, więc jak na początek dobrze się przedstawia. Jedwab' sprowadza p. List z Lyonu i Medjolanu, robotników zajmuje stu, z tych $^1/_3$ cudzoziemców.

Pan Salzman i S-ka, których fabryka założona zo stała w Warszawie w r. 1879 wystawił pół-wełniane prunele hiszpańskie i atłasy. Fabryka ta jest w spółce z domem angielskim w Manchester i zamierza wyrabiać wyroby czysto wełniane oraz mięszane z jedwabiem i bawełną; dotąd wyrabia tylko tkaniny pół-wełniane i zatrudnia samych krajowych miejscowych robotników.

P. Landsberg Hill z Tomaszowa Rawskiego, wystawił sześć odcinków kortów, w różnych kolorach.

W tejże sali F. wystawiło wyroby swoje pp. Bornstein z Tomaszowa Rawskiego, kilka gatunków sukna i kortów. Bracia Boruch z Pabjanic, wyroby pół-jedwabne, wełnianie i pół-wełniane na suknie damskie. Benjamin Konstanty z Warszawy, chustki, szale, zarzutki i kaftaniki damskie, oraz sukienki dziecinne, płaszczyki i mufki. P. Błońszewski z Olszewic (pow. Radzyński) materye póllniane i półjedwabne domowego wyrobu.—P. Pines z Białegostoku, kołdry.—Stiller i Bielszowski z Łodzi, kaszmir, reps, chustki, szale wełniane. Fabryka ta założona w 1877 r. posiada 62 warsztaty i zatrudnia 150 robotników, z tych $^1/_3$ część cudzoziemców. Z ogólnej liczby pracuje $^3/_4$ części mężczyzn, $^1/_4$ kobiet. Fabryka używa wełny alzackiej, roczny obrót 200,000 rs. P. Edward Rolland z Tomaszowa, dywany strzyżone i niestrzyżone, dery, krajczaki i chodniki; fabryka ta wyrabia także sukna i korty.—Gerstenzang z Warszawy, wyroby pasamonicżne.

Na szczególniejszą zasługują uwagę wystawione w tejże sali okazy koronek wyrobionych w Chorkowie; (w Galicyi) w szkole założonej dla dziewcząt wiejskich i utrzymywanej staraniem pani Łukasiewiczowej. Wyuczywszy się sama roboty najładniejszych koronek, p. Łukasiewiczowa objęła kierunek szkoły w której uczy dziewczęta wiejskie; kurs trwa rok, czasem krócej lub dłużej, odnośnie do zdolności; obecnie szkoła liczy 12 uczennic które wyrabiają ładne i tanie koronki, i stanowi obiecujący zawiązek przemysłu koronkarskiego w Galicyi. Może też znajdą się i u nas obywatelki wiejskie które naśladując p. Łuk. pomyślą o zaprowadzeniu i u nas między ludnością wiejską tak zyskownej gałęzi przemysłu—ileżby to dziewcząt miało byt zapewniony, ile pieniędzy zostałoby w kraju.

Kończąc opis obszernej sali G. wymienimy jeszcze pomieszczone tu okazy robót kobiecych, hrabiny Teresy Zamojskiej z Warszawy serweta na stół; hr. Jadwigi Polityłło; poduszeczkę haftowaną bawełną na płótnie żyrardowskiem i p. Friedlein zarzutkę friwolitkową robotą. (d. n.)

Przegląd literatury zagranicznej.

Uroczyste przyjęcie pana Taine w Akademii Paryzkiej.

(Dokończenie).

Wedle ustalonego oddawna zwyczaju, wstępujący do grona *nieśmiertelnych*, opowiada zasługi zmarłego swego poprzednika, a odpowiada mu z kolei wyznaczony dyrektor akademii, udzielając ogólną charakterystykę prac przyjętego członka ciała uczonego, usprawiedliwiając tem samem zrobiony wybór. Dziwnym zbiegiem okoliczności pisarzowi takiemu jak Taine, pracującemu na polu filozofii historyi, literatury i estetyki, odpowiedział J. B. Dumas mający niepospolite znaczenie w dziedzinie nauk przyrodzonych. Po tem określeniu, możnaby zrobić podwójne przypuszczenie: że prawdopodobnie uczony na polu nauk moralnych, wedle dawnego obyczaju ginie w idei nie mogąc jej ująć w formę rzeczywistości, badacz zaś przyrody, nie sięga wyżej umysłem po nad obręby materyi. Przypuszczenia tego rodzaju byłyby z wielu względów nader mylne. Wprawdzie Taine nie jest materyalistą w ścisłem znaczeniu tego wyrazu; filozofia podobna nie znalazła, nie znajduje i prawdopodobnie nie znajdzie nigdy we Francyi szerokiego przystępu. W każdym jednak razie niektóre poglądy jego dają wiele do myślenia.

Przypuszczając w ostatecznym wyniku dwa pierwiastki w człowieku ciała i duszy, w niektórych pojedynczych rozumowaniach, przykładach lub porównaniach, zdaje się stawać na wprost przeciwnem stanowisku. Jeżeli więc filozof francuzki czasem jest chwiejny, i jakby niepewny drogi którą mu stąpać należy, zato znakomity badacz przyrody staje bez wahania w obronie świata duchowego, staje z wiarą, przekonaniem i zadziwiającą siłą słowa, która wywołała oznaki szczerego zadowolnienia, w rzęsistych i przedłużonych oklaskach. Nadto mowa Dumasa odstąpiła nie powiemy od dawnego obyczaju, ale od nowo wprowadzonego w obręby akademii, wedle którego mowy wypowiedziane były tylko objawami wzajemnej admiracyi.

Znakomity ten uczony nie oszczędza bynajmniej nowego akademika, sięga nawet do pierwiastkowej epoki jego zawodu literackiego, podnosząc zdania błędne a tem samem szkodliwe.

Taine w rozprawie swej o bajkach Fontaina, która mówiąc nawiasowo, była zawiązkiem jego sławy literackiej, wyraża się w następujący sposób: „Człowiek jest zwierzęciem wyższego gatunku, układającem systemy filozoficzne i piszącem poemata mniej więcej tak, jak jedwabnik wije swój kokon, a pszczoła lepi komórki woskowe.“ Trudno w kilku słowach z większą stanowczością, odrzeć naturę człowieka ze wszelkiej wartości moralnej.

Posłuchajmy teraz odpowiedzi Dumasa.

Każdy jedwabnik snuje jedwab', a każda pszczoła robi miód bez najmniejszej zmiany od wielu tysięcy lat, a tymczasem nie każdy człowiek potrafi ułożyć systemat filozoficzny lub napisać poemat. W dzisiejszych czasach zarozumiałości i lekceważenia wszelkiej zasługi, nie wmawiajmy w ludzi ograniczonych, że tylko od ich dobrej woli zależy pozyskać sławę wielkości.

Ludzie obdarzeni duchem wynalazczym w kierunku literackim lub naukowym, są pewnego rodzaju gwiazdami, których promyki oświecają właściwą im epokę dziejową i przynoszą zaszczyt współczesnemu pokoleniu. Elementa do wytworzenia Iljady i Phedona, mogły się znajdować we wszystkich umysłach greckich, ale aby je wydobyć z pewnego rodzaju mgławiska duchowego, i ująć w formę rzeczywistości, niedosyć było być Grekiem żyjącym w tej epoce, ale potrzeba było być koniecznie Homerem lub Platonem.

Kilka tysięcy lat temu, człowiek nagi stojąc na brzegu morskim, patrzył z podziwem na słońce którego obiegu nie pojmował, na wzburzone fale oceanu, które zdawały się stawiać dla niego nieprzebytą zaporę, a zbiegając się z krańcami oceanu wzbudzały tem większą ciekawość. W trakcie tego jedwabnik i pszczoła prowadziły już swą czynność z właściwą im dokładnością.

Człowiek dzisiejszy nietylko wymierzył przestrzenie oceanu, ale zbadał tajemnice jego łożyska, bez wielkich trudów odbywa podróż w ciągu kilku tygodni na około kuli ziemskiej, ruch słońca ujął rachunkiem tak dokładnym, że owe ognisko światła ciepła i elektryczności, trzech głównych potęg bez których wszelkie życie by zamarło, posłuszne jest z największą ścisłością wskazowkom astronomicznym, dokonanym na wiele miesięcy a niekiedy na wiele lat. Tymczasem wielotysiączne z kolei pokolenia pszczoły i jedwabnika nie uległy najmniejszej zmianie, widzimy jedne i te same kokony, jedne i te same komórki, których formę geometryczną niezrozumiałą dla pszczoły, dopiero umysł człowieka objaśnił naukowo. Ludzi pracy, poświęcenia i nauki, oddziela przepaść od samolubów, próżniaków, pogrążonych w rozkoszach materyalnych lub dla których materyalne zbiory strzeżone zazdrośnie, są ostatnim wyrazem szczęścia. Z drugiej strony ród ludzki zebrał zbyt widoczne dowody postępu, doskonalenia się w różnych kierunkach, jednem słowem uszlachetniania się, aby go można stawić na równi ze zwierzętami, choćby najbardziej zmyślnemi.“

W dalszym ciągu znakomity uczony francuzki oznacza główne piętna współczesnych szkół filozoficznych. Filozofią niemiecką porównał do wysokiego pieca dymiącego, w którym pod wpływem ognia, ideje oderwane gotują się i topią, zalewając podstawę nieużyteczną pianą metalową. W Anglii uprawiacze filozofii szukają materyału do swych wywodów w naukach ścisłych, a z pożytku tworząc jedyną podstawę moralności, opierają na kruchej nader podstawie, pojęcie prawa, obowiązku i sprawiedliwości. Szkoła francuzka odznaczająca się wielką pobłażliwością i wielkiem umiarkowaniem, stoi wytrwale przy zasadzie duchowej, — idąc od zjawiska i do pojęć oderwanych, od wrażenia do przeświadczenia, od pojęcia prawa i obowiązku do Opatrzności.

Droga nader właściwa w obecnym stanie nauki która nie umie jeszcze wytłomaczyć pierwotnej przyczyny bytu wszechświata. Jak wiadomo filozofia nie unika wcale ostateczności, i niedawno myśl ludzka nazwaną została prostem wydzielaniem się mózgowem, zwykłym wyrobem chemicznym. Prawdopodobnie twórcy tych pomysłów znali nader powierzchownie nauki przyrodzone, żaden chemik nie ośmieliłby się wypowiedzieć twierdzenia tego rodzaju, znając bowiem dobrze zdobycze dotychczasowe, staje nieomal z przerażeniem w obec ogromu zagadek nierozwiązanych, zanim wolno mu będzie pomyśleć o ujęciu formułami naukowemi zapytań ogólniejszego znaczenia.

Pan Dumas jak wiadomo jest pierwszorzędnym chemikiem, wyznanie przeto zrobione przez niego nabiera tem większego znaczenia. Nie często można napotkać opracowania tak nauczające, i zdolne wywrzeć najzbawienniejszy wpływ moralny. Cała mowa zasługiwałaby na dosłowne tłomaczenie zanim jednak to nastąpi, jeżeli nastąpi kiedy, przywiedziemy w streszczeniu niektóre jeszcze wybitniejsze ustępy.

Określenie twoje było najsłuszniejsze, mówił Dumas do Taina, obowiązki człowieka względem samego siebie, względem rodziny i względem państwa wypływają bezpośrednio z pojęcia dotyczącego stworzenia. Stwórca jest niewątpliwie na to wszyscy się zgadzają, tylko jedni nazywają go najwyższą mądrością, drudzy wypadkiem. Wypadek jednak uważany jako pierwotny czynnik, niweczy główne podstawy moralności, nadając wszelkie przywileje sile czyli zwycięzcom, a spychając wszelkie ciężary czyli obowiązki, na słabość czyli na zwyciężonych. Tymczasem mądrość najwyższa, uważana za pierwotną przyczynę, daje konieczną myśl o sprawiedliwości wieczystej, która dla słabych może być osłoną, dla silnych postrachem i hamulcem.

Przyjmując drugą okoliczność za podstawę naszego zapatrywania, byt praw moralnych wedle których rozwijała się, rozwija się i rozwijać się będzie ludzkość i pojedyncze narody, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Na nieszczęście dalecy jesteśmy od ich odgadnięcia dokładnego, i z tej to przyczyny Tiers na schyłku swego żywota, w pracowniach nauk ścisłych, dotyczących natury i wszechświata, przyszedł szukać wskazówek do rozwiązania wielu zagadek dotąd nierozwiązanych; dotyczących jednostki ludzkiej, pojedynczej i zbiorowej. Zgłębił on dzieje wszystkich narodów, kierował losami wielkiego państwa, w swej osobie niejako połączył teoryą z praktyką, mimo tego ów starzec osiemdziesięciolatni rozpoczął niejako naukę na nowo, aby znaleźć nareszcie stałe wskazówki polityczne i społeczne. Źródło życia i jego istota są nam nieznane do dziś dnia, związek duszy z ciałem jest zarówno dla nas niezrozumiałym, jak i myśl uważana za zwykły objaw działalności materyi w pewnych warunkach. Nauki ścisłe w obecnym ich stanie, nie przedstawiają danych do wytworzenia osi świata moralnego. Bezwątpienia człowiek uczynił ziemię uległą sobie, zrozumiał znaczenie gwiazd a nawet ich skład, zbadał mgławiska ujął nawet rachunkiem nieprawidłowy ruch komet, ale po za gwiazdami których światło dochodzi do nas w ciągu wieln wieków. znajdują się inne, których promienie gasną w drodze, a dalej i jeszcze dalej i zawsze dalej bez końca, znajdują się słońca których wzrok nasz nie ujrzy nigdy. Po dwóch tysiącach lat usiłowań, skoro sięgniemy wzrokiem do ostatnich krańców naszego wszechświata, stajemy niejako z przerażeniem na progu przestrzeni nieujętej i niezmierzonej nazywanej nieskończonością, o której nie mamy najmniejszego wyobrażenia. Natura człowieka, jego byt teraźniejszy i przyszły, są tajemnicami niezbadanemi, tak dla prostaczków jakoteż dla największych geniuszów umysłowych, pisał d'Alembert w chwili największej swej sławy. Laplace i Newton nazwali drobnostką wiadomości zdobyte, a zdanie to z kolei potwierdził i Dumas oświadczając publicznie, że dotychczasowe zdobycze naukowe nie potrafiły w niczem obrazić odwiecznej wiary w Boga stworzyciela, w nieśmiertelność duszy, w sprawiedliwość wieczystą i w byt praw moralnych niezawisłych od materyi.

Przegląd literacki.

Powieści Ukraińskie przez Stanisława Grudzińskiego. Warszawa tom I 1879 r., tom II 1880 w 8-ce.

(Ciąg dalszy)

Krzyż w lesie. Powieść tę osnuł autor na podaniu, zasłyszanem w podróży nad brzegami Tasminy, i wskrzesił z całą poetyczną grozą owe czasy, w który ch hajdamaczyzna, ślepe narzędzie rozszalałych namiętności, w krwi szlachty i żydów skąpała prawdziwe i urojone krzywdy ludu. W tych strasznych czasach, które w tak ponurych i dzikich tonach wyśpiewał autor „Zamku Kaniowskiego“ żyło nieznane pacholę, biedny sierota opuszczony przez ojca a duszą i sercem poeta. Ten wyrósłszy na krzepkiego i pięknego mołojca, trzykrotnie uratował życie ukochanej dziewicy. Prosty chłop, a do tego poddany, jak prawdziwy rycerz średniowieczny czcił i uwielbiał córkę swojego pana, dumnego, ale sprawiedliwego cześnika. Raz wyratował ją z płonącego dworu, drugi raz ocalił, unosząc i ukrywając przed zajadłością rozbestwionego tłumu, trzeci raz wybawił ją od niechybnej zguby, gdy w ucieczce. aby powstrzymać pogoń zbójców, nadstawił własne piersi i padł trupem od strzału rodzonego ojca... Trzykrotnie w ten sposób ocalona szlachetna dziewica, która ani domyślała się nawet, że była przedmiotem tak wielkiej miłości biednego chłopamarzyciela, gdy czasy się uspokoiły, przez wdzięczność wybawicielowi swojemu postawiła biały *krzyż w lesie.* W powieści tej, będącej istnym poematem bezrymowym, odznacza się szczególniej rozdział zatytułowany „Za życia w grobie.“ Miłość wielka, idealna; tłumiąca wszelkie popędy zmysłowe, z jednej strony, a z drugiej, ognista, narzucająca się namiętność wiejskiej czarnobrewy rozegrały się tu w pełnej wzruszeń scenie. Niejednemu z czytelników wydać się może, ten bohater w siermiędze, ten poeta wioskowy, jako mrzonka niemająca nic wspólnego z rzeczywistością. Tak przecież nie jest, gdyż nierzadkie spotykamy przykłady poświęcenia się pomiędzy ludem naszym, a usposobienie poetyczne zdaje się być wspólnem wszystkim ludom słowiańskim, czego dowodem ich pieśni, tak rzewne, tak idealnie piękne, chociaż pozostanie dla nas zawsze zagadką, jakie psychiczne czynniki składają się na wytworzenie tych wyjątkowych postaci, co w pieśni i czynie są poetami.

Również piękny obrazek, zatytułowany *Zaklęte jezioro* jaskrawo podmalowany barwą miejscową, uwydatnia dolę pięknej sieroty, która z tęsknoty po ukochanym młodzieńcu, rzuciła się w jezioro, nazwane odtąd przeklętem. Zazdrość, zemsta, gusła i przesądy tamecznego ludu stanowią tło obrazka.

Kara boża jest jakby dopełnieniem, dalszym ciągiem powieści „Krzyż w lesie.“ Jeden z uczestników hajdamackiej rzezi, uniknąwszy karzącej ręki sprawiedliwości, skrył się ze złupionemi skarbami, w jednej z odleglejszych wiosek ukraińskich Miał on przy sobie jedną tylko córkę, dziewczynę piękną wprawdzie, ale dziką, samowolną i skrytego charakteru. I nie mogła być inną, wzrosłszy bez opieki matczynej, przy starym zbrodniarzu, od którego, pomimo wielkiego bogactwa, wszyscy ludzie stronili, nie wiedząc nawet o jego krwawej przeszłości. Dziewczyna była piękną i bogatą, więc pomimo odrazy do ojca, rychło ją wyswatano za gospodarskiego syna również zamożnego. Hanna przecież kochała kogo innego. Kochała skrycie, z całą namiętnością dzikiej duszy, przystojnego ale biednego mołojca. To też w sam dzień weselnych godów porzuciła dano jej małżonka i uciekła w stepy, z ukochanym Horodijem. Ukryli się w dalekiej nowozałożonej osadzie i byli szczęśliwi... on pracował niestrudzony, znajdując wytchnienie i raj przy boku ukochanej kobiety; ona wszystkie siły duszy i serca zaogniskowała w miłości dla swojego wybrańca. Szczęście to nie trwało długo, Horadij przez lekkomyślność zaczął nadskakiwać innej krasawicy i zaniedbywać Hannę. Ta, podobna do lwicy śmiertelnie ranionej, czując w swej duszy budzącego się demona, uciekła w stepy, aby tam skonać na jakim samotnym kurhanie. Oprzytomniały Hordij poznał co się święci, odszukał ją w stepie i sprowadził do domu. Wkrótce dał im Bóg dziecko, rozjaśniło się w biednej chacie, ale szczęście raz spłoszone, ulaciało z niej na zawsze. Horodij znów zaczął chodzić na wieczornice do zalotnej Nastii. Wtedy Hanna nie była już panią swych namiętności: podstępnie zabiła Horodija, a sama razem z dzieckiem rzuciła się w rzekę; dziecko się utopiło, ją zaś uratował Iwan Tarańenko, znany opryszek, który wraz ze swoją szajką był postrachem całej okolicy. Hanna przebrała się w męzkie suknie, została kochanicą Iwana, z łagodnej kobiety przemieniła się w szatana, przewyższając w okrucieństwie i mordach nowego swojego towarzysza; z nim razem napadła na dom rodzonego ojca, aby go złupić z ukrytych tam pieniędzy. Gdy stary zbrodniarz bronił swych skarbów z rozpaczliwą energią, podpalono dom. Wśród dymu wciskającego się do izby, ojciec chce zabić córkę, lecz pada trupem z ręki Iwana. Po dokonanym rabunku, gdy Hanna chce się wydobyć z płonącego domu, potyka się o zwłoki ojca, pada na ziemię i ginie przywalona zgliszczami... Streściliśmy tę powiastkę, aby wykazać jej tragiczny charakter i demoniczną siłę Hanny przed którą bledną wszystkie Medee i Makbety.

Innego rodzaju, lecz również przewrotny charakter kobiecy, znajdujemy w następnej powiastce p. t. *Siostry przyrodne.* Wśród jednakich warunków otoczenia, wyrosłe dwie dziewczyny przedstawiają dwa typy rażącego przeciwieństwa, otwierając szerokie pole do psychologicznych wywodów. Jedna dziewczyna zła, mściwa, zazdrośna, druga łagodna, poświęcająca się, rada każdemu nieba przychylić, a obiedwie piękne, chociaż różną pięknością. Zbiegiem przyjaznych okoliczności dobro tryumfuje nad złem. Powiastka ta napisana zaciekawiająco, miejscami udramatyzowana, chociaż nigdzie nie wychodzi ze sfery czysto ludowej.

(d. n.)

Z kraju i z zagranicy.

— Przed parą tygodniami „Kuryer Codzienny“ zamieścił w szpaltach swoich list z Paryża zawiadamiający, że pomnik na grobie ś. p. Hofmanowej na cmentarzu Pere-Lachaise zupełnie się rozpada. Korespondent odzywa się do ofiarności współziomków aby przez cześć dla pamięci kobiety, która tak wielkie położyła zasługi pracując nad ukształceniem młodych pokoleń, złożono summę jakiej wymaga reparacya pomnika. Wszystkie pisma z uznaniem powtórzyły to wezwanie, które rok temu pierwszy ogłosił czcigodny J. I. Kraszewski. Wówczas potrzeba było 400 fr. dziś już dwa razy tyle: jeżli jeszcze rzecz pójdzie w odwłokę, pomnik rozsypie się w gruzy, które zarząd cmentarza zniewolony będzie kazać uprzątnąć i zrównać z ziemią. Wezwanie J. I. Kraszewskiego przeszło prawie niedosłyszane, zapewne skutkiem tego, że ktoś podpisujący się „*Jeden z rodziny*“ wystąpił publicznie z żądaniem zaprzestania zbierania składki, gdyż pozostała rodzina sama dopełni obowiązku restauracyi pomnika. Szkoda że nie wiadomo gdzie szukać owego „*Jednego z rodziny*“ bo chcielibyśmy przypomnieć mu publiczne zobowiązanie.

Wyraźnie fatalizm jakiś ciąży nad tym pomnikiem, bo i obecnie znalazł się już nie *jeden* ale *jedna*, która bez względu na to że Klementyna z Tańskich Hofman'owa *nigdy nie miała dzieci*, obdarzyła ją *improwizowanym zięciem i wnuczką*, którym

za miejsce zamieszkania wyznaczyła Warszawę i w 154 N-rze Nowin występuje z napomnieniem: aby nie wyzyskiwano ofiarności publicznej, bo uratowaniem od zagłady rozpadającego się jej grobowego pomnika, powinni zająć się *ów zięć i rodzona wnuczka*, kraj zaś wtedy tylko obowiązany jest pamiętać o mogiłach zasłużonych swych obywateli, gdy ci nie „zostawili żadnej lub ubogą bardzo rodzinę.“

Dziwne zaprawdę pojęcie moralnych obowiązków społeczeństwa i znaczenia pomników, wznoszonych ze składek publicznych na grobach zasłużonych współziomków. Czyż własny lub przez rodzinę posiadany majątek, miałby pozbawiać kogoś prawa do wdzięczności ziomków za położone dla kraju zasługi? Z jakiegoż tytułu tylko sami biedacy mieliby mieć do niej prawo? Pisząc swoją „odezwę“ pani Z. nie zastanowiła się nad tem: że pomnik składkowy i czuwanie nad utrzymaniem mogiły, jest często jedyną nagrodą praw i poświęcenia całego życia, i stanowi największą chlubę zarówno choćby milionowych jak i najuboższych rodzin.

Na rozpadającym pomniku wyryte są słowa: Matki i dzieci módlcie się za nią! my dodamy jeszcze: i złóżcie choćby grosz wdowi na uratowanie od zagłady grobowego pomnika czcigodnej niewiasty, której smutne okoliczności nie dozwoliły spocząć w łonie ziemi rodzinnej, którą tak ukochała.

— *Gazetta d'Italja* podaje obszerne, nader sympatycznem piórem skreślone sprawozdanie z dorocznego posiedzenia Akademii Mickiewicza w Bononii, zawiązanej przez młodzież akademicką uniwersytetu bonońskiego, w celu poznania literatury polskiej i w ogóle słowiańskiej.

Uroczyste posiedzenie odbyło się 2 b. m. a głównym punktem i najcelniejszą jego ozdobą był odczyt o „Konradzie Wallenrodzie“ Adama Mickiewicza, którego sprawozdawca *Gazetta d'Italja* nazywa mianem jakie Włosi nadają swemu Dante'mu, *altissimo poeta*.

Zagaił posiedzenie honorowy prezes Akademii, senator Carlo Pepoli, poczem miał krótką przemowę profesor Santagata, a profesor Pietro Ellero, nadesłał pismo nader pochlebne dla Akademi. Odczyt przerywany był nieustającemi oklaskami, a zamieszkały we Florencyi malarz Antoni Zaleski, nadesłał rozprawę o współczesnej szkole malarskiej polskiej.

Początkowo był zamiar aby w dniu posiedzenia miało także miejsce uroczyste umieszczenie tablicy pamiątkowej na domu w którym Mickiewicz mieszkał w Bononii, w kwietniu 1848 r. ale następnie odroczono ten obchód do dnia rocznicy śmierci nieśmiertelnego naszego wieszcza.

— Ciekawej rzeczy dowiadujemy się z „*Fremdenblattu*“ że Kościuszko żył za czasów Jana Sobieskiego. Nie wierzycie? Oto co pisze ten dziennik w N-rze 141. „Obraz Russa ofiarowany zmarłemu Zelince, burmistrzowi wiedeńskiemu, przedstawia Starhenberg'a *obrońcę Wiednia* w r. 1583 gdy na gruzach murów miasta, odbiera z rąk Kościuszki list od ks. Karola Lotaryńskiego.“ Dziwna rzecz doprawdy, żeby w redakcyi większego dziennika nie znalazł się ani jeden współpracownik, choćby tyle znający dzieje końca zeszłego i bieżącego stulecia, iżby wiedział kiedy żył i umarł Kościuszko, oraz że z listem ks. Lotaryngskiego potrafił przedostać się do Wiednia przez obóz turecki niejaki Kulczycki, Polak posiadający język turecki, i udający kupca kawy, której przy tej sposobności znaczny sprowadził zapas, i założył pierwszą kawiarnię w Wiedniu, a ulice przy której ją utrzymywał po dziś dzień jego nosi nazwisko.

— Mamy już pierwszą kobietę-doktora, jest nim panna Tomaszewiczówna która ukończywszy kursa medyczne za granicą i po ulegalizowaniu patentu w Petersburgu, otrzymała pozwolenie praktykowania i osiadła w Warszawie.

Panna Tomaszewiczówna jest autorką kilku poważnych prac naukowych na polu medycyny i oswoiła się z praktyką w wielu klinikach zagranicznych. Chcąc okazać uznanie swoje dla poważnej pracy i nauki, lekarze zarządzający lecznicą 1-szą przy ulicy Niecałej, przyjęli ją do swego grona jako ordynującą w chorobach kobiecych i dziecinnych i zdaje się że jest to właśnie najwłaściwszy wydział. Jeden jeszcze dowód że praca i wytrwałość największe może pokonać trudności; może niezadługo powiększy się liczba kobiet-lekarek, gdyż między innemi dzienniki wiedeńskie wymieniają kilka studentek, przyznając im wielkie zdolności połączone z wzorowem postępowaniem i wytrwałą pracą.

— W roku 1871 zapłacono w Rio-Janeiro 3 500 fr. za najzwyczajniejsze pióro. Po wojnie francuzko-pruskiej zawezwano do konsulatu francuzkiego wszystkich zamieszkałych w stolicy Brazylii Alzatczyków i Lotaryngczyków, dla złożenia deklaracyi czy chcą pozostać Francuzami lub przyjąć narodowość niemiecką. Z trzystu dwudziestu ani jeden się nie zawahał, wszyscy podpisali jednozgodną deklaracyą że chcą pozostać dziećmi ukochanej a tak strasznie dotkniętej Francyi. Gdy już wszyscy podpisali akt urzędowy, ten który wywołał i przewodniczył tej patryotycznej manifestacyi, prosił aby wolno było wziąć na pamiątkę pióro którem się wszyscy podpisywali; wtedy ktoś z obecnych zaproponował aby je puścić na licytacyą na dochód ofiar wojny. Licytacya rozpoczęła się od 5 centów, i w przeciagu kilku minut doszła do 3,500 fr, które zapłacił zaraz plus-licytant.

Od Redakcyi.

Tygodnik Mód i Powieści jak i Przyjaciel Dzieci, w kwartale trzecim r. b. wychodzić będą podtemi samemi co dotąd warunkami. Upraszamy o wczesne nadsyłanie należytości prenumeracyjnej *wprost do Redakcyi*, gdyż tylko tym jedynie sposobem dalsze przesyłanie pism bez zwłoki następować może.

Prenumerata wynosi:

NA TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI

w Warszawie **Kwartalnie rs. 1 kop. 80.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . rs. 2 kop. 50

Półrocznie . . . rs. 5

Rocznie . . . . rs. 10

NA PRZYJACIELA DZIECI

w Warszawie **Kwartalnie — k. 75.**

Na Prowincyi i w Cesarstwie z ekspedycyą i przesyłką pocztową:

Kwartalnie . . . . . rs. 1.

Półrocznie . . . . . rs. 2.

Rocznie . . . . rs. 4.

Nizką tę cenę pomimo zwiększenia kosztów wydawnictwa, utrzymujemy bez zmiany, aby prenumeratę pisma uznanego już w swéj użyteczności, zrobić przystępną dla każdéj rodziny.

Adres: do **J. K. Gregorowicza, Redaktora Tygodnika Mód i Powieści i Przyjaciela Dzieci, w Warszawie** *ulica Chmielna Nr. 1530 (20 nowy).*

Zawiadomienia.

Redakcya uprasza szanownych ***prenumeratorów*** na prowincyi i w cesarstwie zamieszkałych, aby przy nadsyłaniu dalszej prenumeraty żądaniu zmiany adresu, czynieniu reklamacyi, i t. p. zechcieli dołączać kartkę adresową, na opasce odbieranego *pisma* naklejoną, a to celem uniknięcia omyłek wynikających, bądź to z przyczyny nieczytelnego podpisu, bądź też z powodu wielu jednakowych nazwisk.

Nadesłanie rzeczonej kartki, jako opatrzonej numerem miejscowej kontroli, usunie wątpliwości i zapobiegnie takowym omyłkom.

Do dzisiejszego N-ru **Tygodnika Mód** dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава 11 Іюня 1880 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego Chmielna N. 1530 (20).

Dodatek.

Dodatek z powieściami do Tygodnika Mód Nr. 26 r. 1880.

W JESIENI ŻYCIA.

przez

Klarę de Chandeneux.

przekład

K. P.

I.

W pogodny czerwcowy poranek 1873 roku, *Miasto Royan*, mały i zgrabny parowiec, miał już odbić od nadbrzeża portu Bordeaux, kiedy kapitan jego skinął na swych podwładnych, aby nie ściągali jeszcze ruchomego mostu, po którym pasażerowie wchodzili na pokład.

Wykwintne pasażerki zajmujące miejsca pod białym z ponsowemi ozdobami namiotem, zwróciły w stronę lądu zadziwione spojrzenie.

Na cóż jeszcze czekamy? odezwał się jakiś głos męzki z wyrazem niezadowolnienia.

Młody człowiek zbliżał się szybko do statku; widać że już z daleka musiał dawać znaki kapitanowi aby się zatrzymano, i widocznie z jego przyczyny statek nie odbił jeszcze od lądu.

Kiedy wchodził na pomost kapitan zdjął kapelusz i powitał go pełnym uszanowania: Dzień dobry panu, panie de Madiran.

Pan de Madiran uścisnął rękę, której mu podać nie śmiano, z życzliwą poufałością, i rzekł oddając swoją walizkę jednemu z ludzi należących do osady parowca.

— Dziękuje ci Rovelou że zaczekałeś na mnie chwilkę. W tak piękny dzień miłą będziemy mieli podróż po Żyrondzie.

— Czy pan z nami dopłynie aż do Royan?

— Tak, kochany Rovelou; przyszła mi ochota kąpać się w morzu.

— O! jak tylko zaczną się większe upały. wiele osób pójdzie za przykładem pana, i mój statek okaże się niedostatecznym do przewiezienia tak znacznej liczby cudzoziemców i elegantek.

— W takim razie nie rozepnę tam mego namiotu dopóki nie rozpatrzę miejscowości, i nie powezmę wyobrażenia o przybywających tam gościach kąpielowych.

— Bardzo rozsądne postanowienie, panie Robercie, ale pragnę abyś znalazł tam wszystko według swej myśli i pozostał jak najdłużej w Royan, rzekł kapitan Rovelou, i pożegnawszy pasażera, poszedł na swoje stanowisko.

Parowiec *Miasto Royan* przesuwał się właśnie wśród nieruchomej flotylli bryków, mniejszych i większych kupieckich statków, oraz rybackich łodzi zapełniających zawsze przystań w Bordeaux w tej porze roku. Jeden z nich należący do Kompanii transatlantyckiej, przewyższający wszystkie inne wysokością swych masztów, biały i wyświeżony jak piękna kobieta, czynił także przygotowania do podróży.

Kiedy parowiec kapitana Rovelou przepływał obok niego, pan de Madiran zapytał majtka zajętego czyszczeniem miedzianej blachy:

— Dokąd zamierzacie płynąć?

— Do Rio-Janejro, odpowiedział majtek nie przerywając roboty.

Z piersi pana Madiran, liczącego zaledwie dwadzieścia pięć lat życia; wydobyło się ciężkie, choć stłumione westchnienie.

— Rio-Janeiro! powtórzył cicho, pochylając głowę. Czemuż nie zająłem miejsca na tym statku... Kto wie?... byłby mnie może zawiózł do krainy zapomnienia!... jeżeli zapomnienie jest możliwem!...

To powątpiewanie dozwalające wnosić że panu de Modiran pomimo tak młodego wieku, znane już były gorycze życia. wydało mu się prawie bluźnierstwem. Cień smutku zasępił gładkie jego czoło, po ustach przesunęło się coś podobnego do uśmiechu politowania.

— Alboż to można zapomnieć? szepnął wzruszając ramionami, jakby dziwił się sobie że mógł wyrazić podobne przypuszczenie.

Na pokładzie, wśród osób starających się tak umieścić aby mogły odbyć najwygodniej i najprzyjemniej małą podróż z Bordeaux do Royan, było dużo jego znajomych, i mógłby łatwo znaleźć miłe towarzystwo, a nawet dokończyć jakąś rozmowę rozpoczętą na ostatnim balu!

Kilku mężczyzn, należących do najwyższego towarzystwa w Bordeaux, pośpieszyło uścisnąć jego rękę. Piękne i młode panie usuwały krzesła aby mógł wśród nich zająć miejsce. Ale też Robert de Madiran zaliczał się do najlepszych tancerzy, umiał poprowadzić rozmowę, był dowcipnym i ujmującym w obejściu, nic więc dziwnego że życzyły sobie jego towarzystwa, w tej kilkogodzinnej przeprawie, którą tak łatwo mógłby uprzyjemnić i rozweselić.

Jedna z nich odsunęła na bok długi tren swej sukni aby mu wejść nie przeszkadzał: druga przywołała na usta najponętniejszy uśmiech, trzecia, śmielsza od nich rzekła:

— Jeżeli pan de Madiran życzy sobie powiększyć nasze towarzystwo, to jest jeszcze miejsce.

Mówiąc to posunęła ku niemu nogą składane krzesełko: a miała malutką i zgrabną nóżkę.

Stracona praca. Robert de Madiran udał że nie słyszy, stojąc prowadził przez kilka minut, grzeczną ale obojętną rozmowę, a następnie pożegnał panie ukłonem i oddszedł na drugi koniec pokładu, jakby chciał spokojnie nasycić oczy widokiem brzegów Żyrondy. Znalazł tam pęk lin zwiniętych, usiadł na tem malowniczem choć twardem siedzeniu, i zapuścił w przestrzeń wzrok zamyślony.

— Co za dzikość! rzekła półgłosem ta która posunęła krzesełko, odwróciła głowę z zadąsaną minką, i już ani raz nie zwróciła oczu na człowieka tak mało zasługującego na jej spojrzenie.

Jedna z pasażerek postanowiła stanąć w jego obronie w sposób trochę uszczypliwy.

— Pan de Madiran miewa podobne napady od czasu do czasu... jest to coś podobnego do febry, trzeba ubolewać nad chorym nie biorąc mu za złe jeżeli się dąsa.

— Więc go pani już widziała tak stroniącego od ludzi?

— Tak, pomimo że ci ludzie jak i obecnie byli kobietami.

— I to bez żadnego powodu?

— Przeciwnie, zdaje się że były do tego powody, i to bardzo ważne.

— Ale jakie?

— Albożja wiem?... Może zmarszczenie brwi rabiny d'Anglejean!... albo połajanie ojcowskie.

— Co pani mówi. Ojciec pana de Madiran odsunął się zupełnie od świata, i nie troszczy się wcale o to jakie syn wśród niego prowadzi życie.

— Pod tym względem bardzo się pani myli, bo jakkolwiek żyje prawie samotnie w swym pałacyku w Paryżu, lub też w swych dobrach w Szampanii, zwraca jednak baczną uwagę na postępowanie, stosunki i zamiary pana Roberta.

— Sądzę że pod tym względem może być z niego zadowolnionym, odezwała się jedna ze starszych pań, bardzo pobłażliwa dla korzystających jeszcze z przywilejów młodości, która ją już odstąpiła.

— He!... ludzie starsi są ostrożni, przezorni; małżeństwo uważają za rzecz ważną...

— Bardzo słusznie! odezwały się jednozgodnie starsze i młodsze pasażerki.

— O! tak!... Słowem, pan de Madiran ojciec, nie pochwala, wcale nie pochwala związku który pan de Madiran syn gorąco pragnie zawrzeć, odezwała się pasażerka obrażona tem że Robert nie przyjął posuniętego mu przez nią krzesełka, i rada że może się zemścić rozpuszczając tę ploteczkę.

Wszystkie panie zwróciły na nią oczy błyszczące ciekawością.

— Czy się oświadczył już? zapytała jedna.

— O! tak!

— Dawno?

— Blizko miesiąc temu.

— Pomimo oziębłości objawianej mu przez hrabinę.

— Jest to sposób używany zwykle przez kreolki dla zniechęcenia niemiłych im wielbicieli, ale pan Robert de Madiran nie chciał tego zrozumieć.

— W takim razie jakże się to skończy.

— Jak się już skończyło.

— Hrabina d'Anglejean...

— Odmówiła stanowczo pięknemu marzycielowi, który woli siedzieć na tym pęku lin jak korzystać z naszego towarzystwa.

— Słusznie postąpiła! odezwały się znów jednozgodnie piękne panie, z wyrazem pewnego zadowolnienia.

W głębi serca nie życzyły źle „pięknemu marzycielowi," ale obrażona próżność podyktowała im powyższe słowa. Wkrótce nawet, jakby na dowód zmienności natury ludzkiej, niektóre z nich zaczęły ubolewać nad panem de Madiran, że nie otrzymał ręki osoby tak zachwycająco pięknej, rozumnej, wykształconej, która ubiegłej zimy zachwycała wszystkich w Bordeaux. Wszakże żaden bal nie mógł się udać jeżeli ta śliczna hrabina nie zachwycała na nim obecnych swemi omdlewającemi ruchami kreolki, i dowcipem paryżanki.

Hrabina d'Anglejean posiadała te tak odrębne i tak rzadko łączące się w jednej osobie powaby. Urodzona w Gwadelupie, wychowana w Paryżu, kosmopolitka z wrodzonego popędu, ukazywała się wszędzie jak niezwykłe zjawisko, błyszczała jak pierwszorzędna gwiazda, i znikała jak świetny meteor.

Młodzi panowie zachwycali się nią, a zarazem obawiali się jej trochę. Zimna lub uszczypliwa, uprzejma lub rozczulona, stosownie do chwilowego kaprysu, przyjmowała z widoczną niechęcią wszelkie hołdy grożące jej wolności.

Zwykle, jak tylko zaczęła się domyślać że ktoś zamierza wystąpić jako starający się o nią, dawała mu wyraźnie do zrozumienia że postanowiła stanowczo nie wchodzić w powtórne związki.

Wielu cofało się roztropnie po takiem oświadczeniu, inni zaś którzy nie zważając na jej ostrzeżenie trwali nadal w swych zamiarach, stawali się igraszką jej kaprysów, i rodzajem sprzętów zapełniających kąty jej salonu.

Robert de Madiran nie dał się tak łatwo zniechęcić jak pierwsi, i nie okazał się tak natrętnym i zarozumiałym jak drudzy, był tylko wytrwałym i pełnym szacunku, co, prawdę mówiąc mogło go najprędzej doprowadzić do celu, a jednak nie doprowadziło, jeżeli mamy wierzyć słowom pasażerki *Miasta Royan*.

Rozmowę pań przerwało zbliżenie się ich braci i mężów, którzy korzystając z zapewnienia dam że lubią dym cygara na świeżem powietrzu, zapalili je natychmiast i zaczęli czytać gazety. Jednocześnie panie wyjęły ze zgrabnych koszyczków robótki, które moda nakazuje zabierać z sobą, ale które mogą bezczynnie spoczywać w ręku.

Ładne i urozmaicone widoki brzegów rzeki tak już były znane całemu towarzystwu że nikt nie zwracał na nie uwagi. Musiał je także znać dobrze pan de Madiran który od dwóch lat często i długo przebywał w Bordeaux, chociaż po matce spadły na niego dobra w Szampanii, a ojciec jego mieszkał w Paryżu. Magnes przyciągający do siebie tylu innych, jego także zatrzymywał w tem bogatem handlowem mieście.

Bądź co bądź świeże i miłe krajobrazy rozwijające się przed jego oczyma musiały wywierać na nim jakiś nieprzeparty urok, bo od samego początku podróży nie mógł od nich oderwać wzroku.

Wesołe wioski rozsiadły się wśród zieleni jak stada białych owieczek, a ładne przystanki były tak rozsiane, że gdy jeden znikał już z oczu, następny zaczynał ukazywać się w dali.

Parowiec zatrzymywał się w nich, wysadzał jednych pasażerów, przyjmował innych na ich miejsce, a na wybrzeżu i na pokładzie żegnano się, witano, podawano sobie rzeczy i pakunki.

— Wszyscy ci ludzie dążą do jakiegoś celu, ja tylko nie widzę już żadnego przed sobą, pomyślał ze smutkiem Robert. Każdy wie dla czego się udaje tam gdzie jedzie, ja i tego nie wiem, a nadewszystko nie wiem czemu płynę do Royan a nie do innego jakiegoś miejsca.

Royan było mu zupełnie obojętne, nie znał w nim nikogo i nic go tam nie przyciągało, to spotkanie się już na statku, z udającem się tam towarzystwem zupełnie obojętnych choć znanych mu osób, było mu bardzo niemiłe.

Jakażby to była dla niego przykrość gdyby cały sezon musiał przepędzić wśród tych światowych *przyjaciół* z którymi nie łączył go żaden serdeczniejszy stosunek, wśród tych kobiet których głównem zajęciem były stroje zabawy i plotki.

— Lepiej byłoby, pomyślał, udać się na puszczę i tam pozostać na zawsze!

Wyjął z kieszeni list zawierający w sobie rady i przestrogi obecnie już bezużyteczne, który jednak przeczytał parę razy:

„Twoje zamiary, kochany synu, są ciągłym przedmiotem moich rozmyślań, niesłusznie więc posądzasz mnie że je lekceważę sobie. Kobieta którą chcesz uczynić moją synową, nie posiada przymiotów jakie pragnę znaleźć w towarzyszce twego życia. Z tego co mi o niej piszesz wnoszę że jest bardzo piękną, co stanowi skałę o którą często rozbija się szczęście męża, próżną, co nie daje o niej korzystnego wyobrażenia, a nadomiar wszystkiego namiętnie zamiłowaną w uciechach światowych, co już jest prawdziwem nieszczęściem. Nie takie usposobienie miała matka twoja, mój synu, a daj Boże aby twoja żona była podobną do niej! Hrabina d'Anglejean nosi nazwisko któreby powinno wzbudzić we mnie korzystne dla niej usposobienie, jako połączone ze wspomnieniami moich lat młodych; jest to jednak tylko tożsamość nazwisk, bo piszesz mi że piękna wdowa jest w kwiecie młodości, a daty nasuwające mi się na pamięć zupełnie się z tem nie zgadzają. Proszę cię, zmuś twoje serce do cierpliwości i zastanów się dobrze, zanim uczynisz krok stanowczy, krępujący twoją wolność. Bożyszcze twoje nie będzie mogło wziąść ci za złe wahania wywołanego życzeniem ojca, gorąco pragnącego twojego szczęścia. Wierzaj mi Robercie, trzeba rozmyślić się dobrze, i zbadać gruntownie co nas spotkać może, nim postawiemy się w położeniu z którego już wycofać się nie można."

— Już zapóźno! szepnął Robert, składając list zawierający rady z których nie korzystał, i roześmiał się z samego siebie z ironiczną litością.

Od czasu do czasu, aby otrząsnąć się z coraz silniej owładającego nim smutku, przemawiał kilka słów do kapitana Rovelou, skoro ten przechodził obok niego.

Rozmowa między człowiekiem światowym, a zacnym żeglarzem po wodach Żyrondy nie mogła być bardzo urozmaiconą; przedmiotem jej były szczegóły dotyczące jego parowca, liczba przybywających pasażerów, lub rybackie łodzie snujące się po rzece. Kochali się jednak bardzo, a poznali półtora roku temu w sposób dość dziwny. Pewnej nocy Robert nie znający jeszcze dobrze miasta Bordeaux, zamiast wejść do nowej, pięknie zabudowanej jego części, znalazł się w ciasnych uliczkach dawniejszego miasta.

Na rogu ulicy spotkał trzech ludzi, pijanych, czy też złoczyńców, ale w każdym razie ożywionych złemi zamiarami, jak się to później pokazało. Z początku przyglądali się jego wieczorowej toalecie, jakby czemuś niezwykłemu, potem otoczyli obrzucając szyderstwami i grubiańskiemi żartami.

Robert ochłonąwszy z zadziwienia, starał się utorować sobie między nimi drogę, ale napastnicy zaczęli mu grozić pięściami, nawet nóż błysnął w powietrzu, a jednocześnie ciężka ręka wsunęła się do jego kieszeni.

Robert bronił się dzielnie, pomimo to zostałby z pewnością okradzionym, a prawdopodobnie, i zamordowanym dla zatarcia śladów, gdyby obrońca nadbiegający niespodzianie z poblizkiego domu, nie zmienił nagle stanu rzeczy.

Człowiek ten silny i odważny rzucił się na złoczyńców nie patrząc na ich liczbę, i uderzał na prawo i na lewo wielkiemi rękami, obdarzonemi niezwykłą siłą.

Jeden z napastników leżał wkrótce na bruku drugi uciekł krzycząc z bólu, trzeci zdał się na łaskę, na co jednak nie zważał nieznajomy i nieszczędził mu razów, aż w końcu Robert wyzwolił go z rąk jego w tak opłakanym stanie, że uważając iż już dostateczną odniósł karę puścił go wolno.

Wtenczas obrońca i obroniony spojrzeli na siebie, jeden z nich powiedział że nie dawno przybył do Bordeaux, gdzie zamierza pozostać czas jakiś; drugi że jest kapitanem w służbie towarzystwa posiadającego wyłączne pozwolenie utrzymywania statków pasażerskich na Żyrondzie!

Po tem wzajemnem przedstawieniu się sobie, uścisnęli się za ręce, a kiedy Robert zaczął wynurzać kapitanowi wdzięczność za tak skuteczną pomoc, kapitan Rovelou zawołał:

— Doprawdy, niema o czem mówić. Pan na mojem miejscu postąpiłbyś tak samo.

Od tej chwili ci dwaj ludzie tak różniący się powierzchownością, i tak odmienne zajmujący stanowiska społeczne, pokochali się całem sercem.

II.

Roztargniony wzrok Roberta zatrzymał się teraz na niezwykłym krajobrazie, była to wioska jaką spotkać trudno, zbudowana w sposób znany prawie tylko w tej okolicy.

Na prawo, płynąc w dół rzeki, ciągnęły się czerwonawo-brunatne wzgórza, oddzielone od wody wązkim pasem ziemi. Na pierwszy rzut oka trudno było rozróżnić czy to było pasmo skał, czy też pagórków, ale dostrzegano z zadziwieniem że wyżłobiono w nich ludzkie mieszkania, ubogie ale schludne, co można było dostrzedz przez drzwi pootwierane.

Do niektórych były od frontu przybudowane przystawki z prawdziwego kamienia i wapna, i te mogły być zaopatrzone w kominy z czerwonej cegły, wznoszące się dumnie nad dachem. Były to domy „zamożne," jak je nazywano w okolicy.

Znajdowały się tam wprawdzie i takie, które opierały się tylko o pagórek, a resztę ścian miały zbudowane jak zwykle, ale tak zbytkownych budowli było bardzo mało. Wzrok Roberta śledzący we wszystkich zakątkach, znalazł ich sześć zaledwie.

Dziatwa uwijająca się koło tych mieszkań, powitała parowiec wesołemi okrzykami, przypominającemi bardzo, co prawda, krzyk stada spłoszonych gęsi.

— Jakiż to ładny i niezwykły widok, odezwał się Robert do przechodzącego kapitana.

— Rzeczywiście... Już kilku malarzy starało się przenieść go na swoje płótna.

— Nie mogli zrobić lepszego wyboru. Czy się tu nie zatrzymamy?

— Nie panie, jest to tak mało znacząca miejscowość że nie urządzono w niej przystanku.

— Szkoda! Chciałbym przypatrzyć się bliżej tem gniazdkom tam w górze, a pierwszy przepływający statek mógłby mnie ztąd zabrać.

Kapitan który właśnie zmieniał kierunek statku, chcąc aby płynął o ile można najbliżej brzegu, odpowiedział mu tylko uśmiechem.

— Dlaczegóż zbliżamy się do lądu, skoro nie mamy się zatrzymać? zapytał, spostrzegłszy to Robert.

— Spojrzyj tam, panie Robercie, a znajdziesz odpowiedź na swoje pytanie.

Mówiąc to, Rovelou wskazał mu odbijające spiesznie od brzegu czółno kierowane przez kobietę.

— A! masz tu przyjaciół, Rovelou! rzekł Robert.

Zacny kapitan spojrzał na niego wesoło, i odpowiedział z widocznem zadowolnieniem:

— Mam tu więcej niż przyjaciół, panie de Madiran, bo poczciwą starą matkę, tak dobrą, że lepszej trudno byłoby znaleźć na świecie, i siostrę która właśnie płynie ku nam, i którą także mogę się poszczycić.

— A!... więc to twoja siostra kapitanie?

— Tak, Ludwika Rovelou, prosta tylko wieśniaczka, która jednak pod względem serca i szlachetnych uczuć, przewyższa z pewnością nie jedną wielką damę.

— Niestety! rzekł z westchnieniem Robert, bo te słowa nasunęły mu znów myśli z których otrząsnął się z taką trudnością, i już z roztargnieniem spoglądał na zbliżające się czółno.

Kierująca nim kobieta chciała widocznie przysunąć się jak najbliżej do statku, obok niej leżało spore zawiniątko, które zapewnie zamierzała podać bratu.

Rovelou zrozumiał widać co jej idzie, bo zwolnił o ile mógł bieg statku, ale czekał na nią z niecierpliwością wzrastającą z każdą chwilą, z powodu że nadpływał właśnie drugi pasażerski statek, *Miasto Pauillak*, którego kapitan był mu nieprzychylnym. Czuł więc zwrócony na siebie nieprzyjazny wzrok współzawodnika, a jakkolwiek nie czynił nic tak bardzo złego, wiedział że przestępuje przepisy Towarzystwa któremu służył.

Zdarzyło się to już raz, kilka tygodni temu, i prosił Ludwiki aby zaniechała podobnych wycieczek, ale o tej uprzedzono go już naprzód, szło o zamienienie w Royan zbyt lekkiej wełnianej materyi, na inną cięższą i grubszą, aby matka Rovelou miała z niej ciepłe i wygodne ubranie. Łatwo zrozumieć że skoro szło „o tę kochaną starą matkę," nie mógł odmówić tak małej rzeczy jak zwolnienie biegu statku w ciągu kilku minut. Zdradził jednak niezadowolnienie wywołane spotkaniem współzawodnika, zawoławszy dość ostro na siostrę.

— Hej!... Ludwiko!... czy nie mogłabyś pospieszyć się trochę?

Ludwika już i tak spieszyła się bardzo, ale nie umiała dobrze robić wiosłem. Wir wywołany biegiem statku *Miasto Pauillak* zaczął odpychać ją do brzegu; chcąc oprzeć się temu, uderzyła niewłaściwie wiosłem, a widząc że czółno posuwa się szybko do koła parowca, krzyknęła przerażona i wypuściła z rąk wiosło.

— Do tysiąca miliardów głów murzyńskich! zawołał Rovelou blednąc; cofaj się! cofaj!...

Już było zapóźno. Wątła łódka pozostawiona bez kierunku, kręciła się w koło, przechylając z boku na bok, aż zalana wodą rozbujaną działaniem koła, przewróciła się i wsunęła pod nie. Ludwika zniknęła wraz z czółnem.

Krzyk pasażerów zagłuszył kapitan swoim „do tysiąca głów murzyńskich," które jak grzmot rozległo się na pokładzie.

Przechylony przez barjerę, trzymając w ręku gruby sznur z nawiązanemi węzłami; śledził nurty rzeki przerażonym wzrokiem, aby jak tylko siostra wypłynie rzucić jej koniec tego sznura. Nie wypływała.

Twarz kapitana z bladej stała się zieloną. Z ust jego, przez zaciśnięte zęby wydobyły się słowa wymawiające straszne przypuszczenie:

— Musiała uderzyć głową o koło!

Można było sądzić że nie omylił się tak dalece. Ludwika wypłynęła na wierzch, ale nieruchoma, miotana falami, jakby martwy jakiś przedmiot, nie widziała nawet sznura rzuconego jej przez brata.

Ponieważ przepisy Towarzystwa zakazywały wyraźnie kapitanom statków zatrzymywać się dla jakiejbądź przyczyny, gdzieindziej jak w przystaniach wir spowodowany obrotami koła, mógł lada chwila pociągnąć znów na dno nieszczęśliwą kobietę.

Robert w pierwszej zaraz chwili zrozumiał grożące Ludwice niebezpieczeństwo, widział boleść i przerażenie kapitana, a nie namyślając się długo zdjął tużurek i zanim Rovelou odgadł jego zamiary, przeskoczył przez barjerę i rzucił się w wodę wywołując okrzyki przestrachu i zadziwienia innych pasażerów.

— Dzieci! spuście łódź ratunkową *Miasta Royan!*... Tylko spiesznie! zawołał kapitan.

Rozkaz jego spełniono w mgnieniu oka.

Robert pływał dobrze, był młody i silny. Oślepiony w pierwszej chwili wodą w którą rzucił się tak śmiało, wypłynął za chwilę na wierzch, odetchnął i spojrzał w koło siebie.

Spostrzegł niedaleko zemdloną Ludwikę. Jedną ręką przyciągnął ją do siebie, a czyniąc drugą miarowe poruszenia zaczął płynąć do brzegu.

Wchodził już na ląd, kiedy łódź ratunkowa popychana wiosłami dwóch majtków, oddalała się od statku.

Rovelou pozostał na pokładzie; czuł że nie wolno mu opuścić swego stanowiska, nawet dla uratowania siostry.

Do brzegu było tak blizko że kapitan dosłyszał głos Roberta gdy ten zawołał:

— Uspokój się przyjacielu, to tylko zemdlenie.

— Niechże cię błogosławi, panie Robercie, Najświętsza Panna z Arcachon! Więc dzięki tobie, moja biedna Ludwika jeszcze żyje.

Po tych słowach, czując że nogi uginają się pod nim, kapitan upadł na ławkę i zasłonił rękami oczy aby ukryć łzy gwałtem się z nich wydobywające.

Tymczasem łódź ratunkowa przybiła do lądu Majtkowie podnieśli Ludwikę, i stosownie, do ogólnie przez marynarzy używanego sposobu ratowania osób wydobytych z wody, zaczęli ją bujać na ręku. Jest to zresztą środek którego medycyna nie potępia, jakkolwiek sądzi że zna lepsze.

Szczęściem siostra kapitana tak krótko była pod wodą, że ocuciła się prawie natychmiast, ale twarz jej wyrażała przestrach i cierpienie.

Rovelou spokojny już o siostrę, byłby się pewno nie powstrzymał od głośnych objawów radości, gdyby *Miasto Pauillak* nie było świadkiem różnorodnych jego wzruszeń. Widział że kapitan i pasażerowie patrzyli na niego przyłożywszy do oczu lornetki, i oddalali się tak wolno, tak wolno, jakby chcieli aż do końca być świadkami jego postępowania.

Czy też pozwoli aby siostra przerażona, słaba, zmoczona, powróciła sama, bez opieki do domu? Czy też nie poprzestając na tem że już pod pewnym względem przekroczył obowiązujące go przepisy, każe ją jeszcze odprowadzić komuś z osady, i zatrzyma statek czekając na niego?

Zdawało mu się że słyszy jak kapitan *Miasta Pauillak*, człowiek złośliwy i bez serca, zadaje sobie pytanie: „Co też on zrobi? Czy zostawi ją samą, czy też nie zostawi?

Nagle usłyszał znów głos Roberta.

— Kapitanie!

— Co pan sobie życzy?

— Odsyłam ci twoich ludzi, staraj się powetować czas stracony?

— Odsyłasz mi pan ludzi?... a jakże sam...

— Bądź spokojny, odprowadzę twoją siostrę. Nie można jej tak samej zostawić.

— O! wielki święty Michale! jakiż nieoceniony z ciebie chłopiec, panie Robercie!

— A nadewszystko musi być ze mnie śliczny chłopiec... w tej chwili. Proszę cię przyślij mi moją walizkę.

(d. c. n.)

Pieniądz to szczęście, pieniądz to potęga.

przez panią THURET,

przez J. B.

(Dokończenie).

Wstał, zebrał wszystkie listy i włożył je w ogień. „Muszę zrobić tę ofiarę, rzekł sobie, tak przez cześć dla jej pamięci jak i przez wzgląd na Walentynę...“ I wkrótce z tych ukochanych listów została tylko garść popiołu. „Trzeba dziś całkowite zrobić poświęcenie,“ i wyjął tekę w której Laura chowała papiery familijne. Uderzył go podpis na jednej kopercie: „Dla Jerzego, mój podarunek ślubny,

List wypadł mu z ręki; zimny pot wystąpił na czoło, w oczach mu się zaćmiło, uczuł gwałtowny szum w głowie i dzwonienie w uszach. Przez mgłę wzrok mu zasłaniającą, widział zstępujących ku sobie naddziadów przedstawionych w wiszących portretach; wszystko przedstawiało mu się jak we śnie, słyszał jakieś głosy mówiące mu: Wiarołomco, ona pokładała w tobie nieograniczoną ufność, a ty złamałeś tylokrotnie ponawiane jej przysięgi i zdradą twoją wtrąciłeś do grobu!...

Straszna boleść miotała jego duszą. Powoli, stopniowo, wracało poczucie rzeczywistego położenia, spojrzał do koła przerażonym wzrokiem. Wszystko było w zwykłem porządku, jasne słońce oświecało galerję... Po chwili zdołał się uspokoić,—rozpieczętował kopertę. Zawierała ona testament hrabiny Fabiani zrobiony na kilka dni przed śmiercią, którym mianowała Laurę jedyną spadkobiercynią ogromnego swego majątku. O tym to testamencie nadmieniła hrabina markizowi d'Elcairet, i tylko zbrakło jej sił wskazać gdzie był złożony. O nim także mówiła Laurze.

Testament ten unieważnił najzupełniej ów wymuszony na hrabinie, mocą którego książe Julio Fabiani objął cały majątek, gdyż zbytkiem przezorności antydatował go o parę tygodni. Obok testamentu znajdowała się kartka napisana ręką Laury, że znalazła go w podwójnem dnie kassetki z klejnotami. Choroba i śmierć córki i uczynione z tego powodu odkrycie że jest ożeniony, nie dozwoliły jej zawiadomić o tem Jerzego.

Straszna rozpacz zawładnęła duszą Jerzego. A więc i Laura była bogata, bardzo bogata... więc dość mu było nie zstępować z prawej drogi, aby dojść do celu pragnień swoich... Tak więc nawet bez potrzeby stał się zdrajcą i wiarołomcą, i dla swej pychy i żądzy bogactw, poświęcił dwie tak szlachetne, tak godne uwielbienia kobiety... Laura umarła a Walentyna nie może już być szczęśliwą...

Dręczony wyrzutami sumienia, zamknął tekę w szufladzie i wybiegł do parku. Chodził po nim dość długo, poczem udał się do lasu, wziął dubeltówkę od leśniczego i kazawszy zawiadomić hrabinę że nie wróci na śniadanie, poszedł przed siebie nie myśląc gdzie idzie.

Tak doszedł do polanki bardzo odległej od pałacu. Upał był dokuczliwy; mocno znużony, Jerzy położył się pod drzewem i zasnął. Gdy się przebudził czuł ciężenie i straszny ból głowy. Aby usprawiedliwić tak długą nieobecność, chciał przynieść jaką upolowaną zwierzynę i strzelił do dzikiej kaczki która upadła na bagnisko. Hrabia wszedł na brzeg jego i stał czas jakiś w kałuży, zanim wydostał kaczkę — wyszedł zmoczony i zziębnięty do kości. Pomimo że przeszedł bardzo znaczną odległość i śpiesznym krokiem wracał do pałacu, ruch ten nie rozgrzał go jednak.

Nazajutrz miał paroksyzm mocnej gorączki, Walentyna zaniepokoiła się bardzo i natychmiast posłała po doktora. Nie zastano go w domu, gdy przyjechał nareszcie, gorączka już ustąpiła. Czy doktór się nie poznał czy nie chciał przerażać hrabiny, dość iż powiedział jej że nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa, że to tylko proste zaziębienie i kazał tylko dzień jeden pozostać w łóżku.

I rzeczywiście zdawało się że silny organizm hrabiego przezwyciężył chorobę, gdyż nazajutrz czuł się o tyle lepiej iż mógł wyjechać naprzeciw stryja, który odkładając z roku na rok swe odwiedziny w Elcairet, zdecydował się nareszcie przyjechać.

Markiz nie widział synowca od trzech miesięcy, i przeraził się zmianą jaką w nim zobaczył, a że nie lubił się łudzić, powiedział sobie zaraz że hrabia pewnie nie pociągnie długo—i było to pierwsze boleśne wrażenie jakiego doznał w całem swojem życiu. I któż teraz nosić będzie znakomite jego nazwisko?... Wtem przypomniał sobie synka Jerzego, o którego dotąd bynajmniej się nie troszczył—i to uspokoiło go zupełnie. Chłopiec ten, pomyślał sobie, posiędzie kiedyś kolosalny majątek, i będzie mógł godnie nosić nazwisko d'Elcairet i utrzymać świetność rodu.

Choć czując się niby lepiej, Jerzy instynktowo zajął się uporządkowaniem swoich interesów, spokojnie myślał o śmierci, przyjmując ją jako zadośćuczynienie za winy swoje.

Laura przed śmiercią mianowała go swoim spadkobiercą; Jerzy napisał rozporządzenie wytoczenia procesu i zniewolenia księcia Julio do oddania zbrodniczym zamachem przywłaszczonego sobie majątku i przeznaczył go na urządzenie dobroczynnego zakładu, w rodzinnem mieście Laury.

Dwa dni minęły, nic nie zapowiadało nowego paroksyzmu. Hrabia zapragnął przejechać się w powozie z żoną i dziećmi, stryj oznajmił że będzie im towarzyszył. Przez cały czas spaceru, Walentyna otaczała męża najtroskliwszemi staraniami, dowodzącemi jak bardzo był jej drogim.

Jerzy dziękował jej serdecznie. Co chwila zatrzymywał swe łzami zroszone oczy, już to na żonie już na dzieciach, a w spojrzeniach jego malowały się przywiązanie i niepokój. Potem zwrócił wzrok na park i pałac — nigdy jeszcze nie wydawały mu się tak piękne.

Nie miał sił wypowiedzieć myśli tłumnie cisnących mu się do głowy, — a potem były tak czarne i smutne.

Zaniepokojona długiem milczeniem, Walentyna zaczęła coś mówić do męża, a w głosie jej było tyle uroku i słodyczy, iż przypomniał mu się głos inny.. Zamknął oczy — a za chwilę jakby przepraszając żonę, ujął jej rękę i pocałował. Widząc to, Janek i Małgosia, zaczęli domagać się aby i ich ojciec popieścił!

W tej chwili po raz pierwszy Jerzy uczuł w sercu niewysłowioną błogość; uczuł że kocha Walentynę i że mógłby jeszcze być szczęśliwy... Ale jednocześnie wstrząsły nim zimne, złowrogie dreszcze. Nie godzien jestem tego szczęścia! pomyślał. Dotyka mnie sprawiedliwa kara.. Zabiłem Laurę.. i kto wie? byłbym może zupełnie zapomiał o niej!

Oschły głos stryja przerwał jego rozmyślania.

„O! Boże miłosierdzia! westchnął w duszy, nie dopuszczaj aby syn mój dostał się kiedy w moc tego człowieka, aby i jego duszę zatruł zgubnym swym wpływem. Nie dopuszczaj aby zrobił z niego co zrobił ze mnie wpajaniem swej szatańskiej zasady pieniądz to szczęście; pieniądz to potęga... Wtem spojrzał na żonę i uspokojony pomyślał sobie: Kobieta z tak wzniosłą duszą i tak wielkiem sercem, potrafi wychować syna...“

Powróciwszy, Jerzy uczuł się tak osłabionym iż zmuszony był się położyć. Przerażona Walentyna, wysłała natychmiast telegram do matki aby jak najśpiesniej przysłała doktora—ale zanim przybyć zdołali rodzice i doktór—hrabia już nie żył.

Opis do N-ru 26.

(*Dokończenie*).

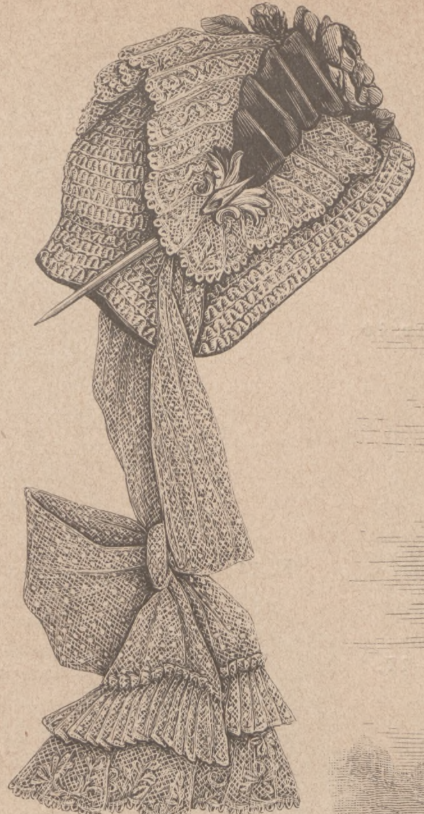
Bryt tylny przedstawiony w połowie pod literą *d*, układa się z obu stron jednakowo i łączy z bokami tylko do gwiazdki. Dół tuniki jest przestębnowany kilkanaście razy na 16 cent. szerokości.

N. 24—27. Suknia z przypinanym trenem.

Tren wykończony



N. 1. Przybranie do kapelusza ryc. 2 rozłożone płasko.



N. 2. Kapelusz z fantazyjnej słomki.



N. 4. Krawatka z kolorowem wyszyciem.

oddzielnie, przedstawiony na rycinie 25, przypięty poniżej tylnego bryta tuniki, zamienia z łatwością suknię krótką spacerową na strojniejszą z trenem; tren taki składa się z dwóch brytów, przykrojonych podług litery *e* na ryc. 24, podłożony w całej długości sztywnym muślinem z brzegów podszyty listwą i zakończony plisowaniem. Brzeg górny założony w fałdy

do 24 cent. szerokości, wszyty jest w pasek 4 cent. szeroki; pentelki przyszyte z boków i guziczki przyszyte odpowiednio

na sukni służą do przypinania trenu na sukni. Krótką spódnicę kraje się podług brytów *a—c* na ryc. 24; przód i boki przybrane są bufowaniem podług ryc. 26—27 przemarszczone w odstępach 20 centym. plisowanie liczy 9 centym. szerokości. Tylne upięcie przyczepione wprost na sukni wymaga prostego bryta (*d* na ryc. 24), który z jednej strony w odstępie 42 cent od góry podpina się

w pukiel; w miejscu oznaczonem gwiazdką przyczepia się znowu do sukni a brzeg dolny po założeniu fałd z drugiego boku, tworzy ząb śpiczasty. Prócz fałd dolnych drugi bok podpina się w odstępie 16 cent. od góry w fałdę 16 centymetrów głęboką.



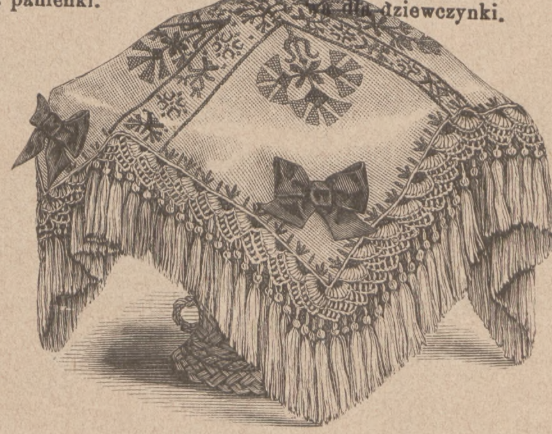
N. 3. Kapelusz z włoskiej słomki.



N. 5. Krawatka z kolorowem wyszyciem.



N. 6. Suknia z bluzką i tuniką dla panienki. N. 7. Sukieneczka batystowa dla dziewczynki.



N. 10. Koszyczek do robót z haftowanem przykryciem. Patrz ryc. 11—12.



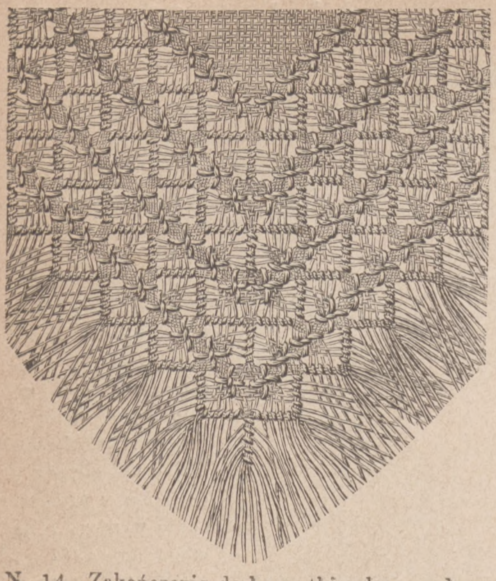
N. 11. Koszyczek przybrany materyą i kokardami.



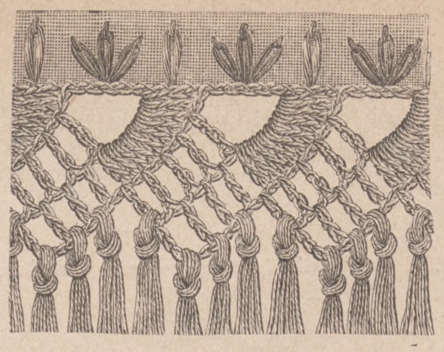
N. 8. Ubranie letnie z kapeluszem ogrodowym i koszyczkiem.



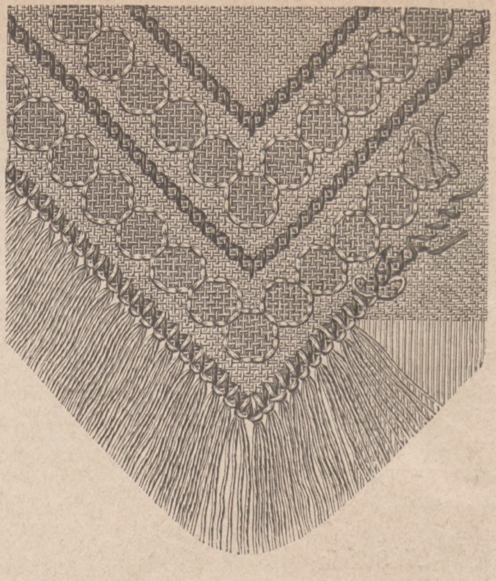
N. 9. Suknia z koronkowym żabotem.



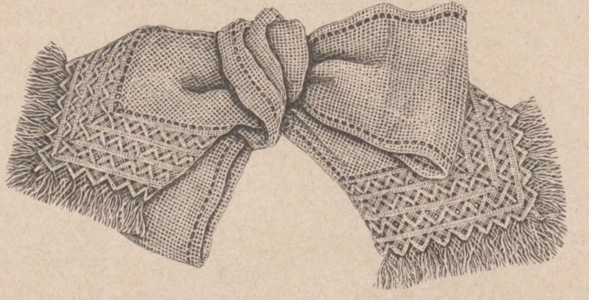
N. 14. Zakończenie do krawatki z kanwy de congrés. Patrz ryc. 15—16.



N. 12. Ząbki szydełkowe z przywiązaną frendzlą do r. 10.



N. 17. Zakończenie krawatki z kanwy de congrés.



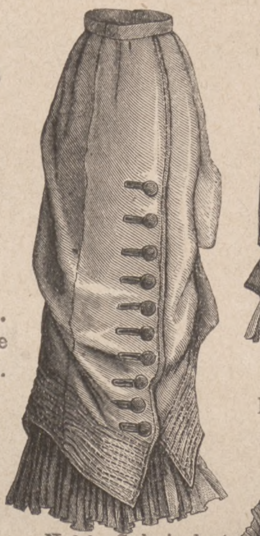
N. 13. Krawatka z kanwy de congrés ryc. 14—17.

N. 28—29. Szlak haftowany ściegiem płaskim i tamborkowym.

Na ryc. 29 podajemy w naturalnej wielkości próbkę deseniu któren na ryc. 28 jest zmniejszony. Model odrobiony był w maszynie na mocnym szyrtyngu, żyłki, gałązki i kontury robione były cienką nitką złotą, ściegiem łańcuszkowym czyli tamborkowym, kwiaty i liście ściegiem płaskim, pelą do cieniu w kolorach niebieskim, różowym, vieil or i oliwkowo zielonym. Wykończony haft wycina się starannie w sposób na ryc. 28 wskazany i służy do przyozdobienia sukień lub mantyl. Deseń ten służyć także może do haftu na tle sukiennem, repsowem i t. p., włóczkami „crewel.“



N. 18. Ubranie dla chłopca.



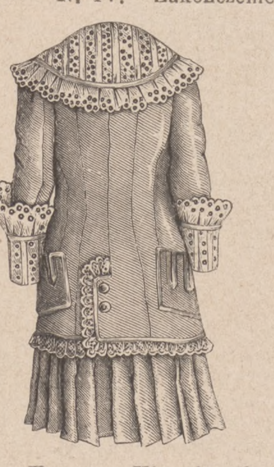
N. 20. Suknia krótka z tuniką przedstawiona z boku.



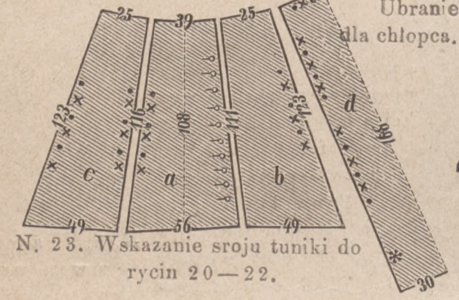
N. 22. Suknia krótka z tuniką ryc. 20—21.



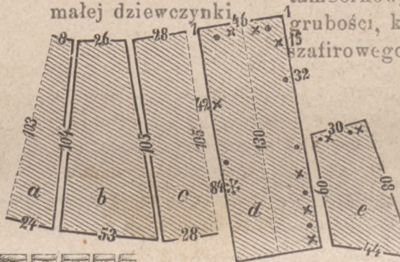
N. 21. Suknia krótka przedstawiona z tyłu. Patrz ryc. 20—23.



N. 19. Ubranie dla małej dziewczynki.



N. 23. Wskazanie sroju tuniki do rycin 20—22.

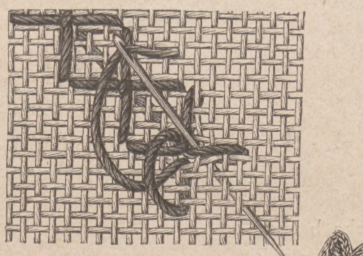


N. 24. Wskazanie kroju sukni.

wianeczki z literami w środku. Na drugim brzegu wyznaczone całe imię właścicielki i rok.

N. 34—39. Ręcznik ozdobiony haftem w guście dawnym niemieckim i kratkami. Deseń na dodatku z krojami do N-ru 23 i 24 Fig. 78.

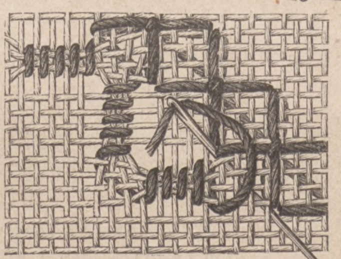
Połowę deseniu do wyszycia tylko na jednym końcu ręcznika podajemy na ryc. 39, część brakującą dopełnić podług Fig. 78. Kontury deseniu obrabia się ściegiem sznureczkowym lub tamborkowym bawełną średniej grubości, koloru ponsowego lub szafirowego, środek zapełnia się rozmaitemi rodzajami ściegów nićmi świecącemi Nr. 20. Próbki trudniejszych ściegów są dokładnie przedstawione na rycinach 36--37; resztę odrobić można podług ryc. 39. Pod szlakiem w odstępie 1¼ odległości, zrobiona jest między dwoma szlaczkami wązkiemi, szeroka kratka ażurowa, którą podług próbki ryciny 35, robi się zarówno jak i linijki przy szlaczku bawełną ponsową lub niebieską, szlaczek zaś nićmi świecącemi białemi. Taka kratka ze szlaczkami robi się przy drugim brzegu.



N. 15. Wskazanie wyszycia na kanwie de congrés do ryc. 14.



N. 25. Tren do przypinania na sukni.



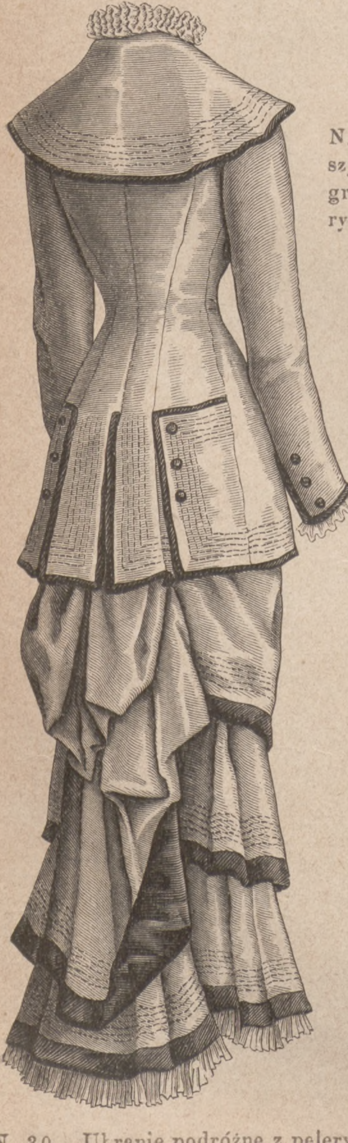
N. 16. Wskazanie wyszycia na kanwie de congrés do ryc. 14.



N. 29.

N. 32 — 33 i ryc. 4 i 19 w N. 25. **Ręcznik** podwójny ozdobiony haftem krzyżykowym.

Za model służył ręcznik z r. 1738 mający podwójną długość, w koncach spojony wstawką z koronki niciane 14 centym. szerokiej. Haft robiony jedwabiem czarnym bardzo cienkim na dość rzadkiem i grubem płótnie, zajmując na krzyżyk 2 nitki w kwadrat. Z brzegów za wązkim obrąbkiem wyszyty był szlaczek który podaliśmy na ryc. 32 w N. 26, za temi małe



N. 30. Ubranie podróżne z pelerynowym kołnierzem. Patrz rycina 3 w N-rze 25.



N. 26. Suknia z przypiętym trenem. Patrz ryc. 24—27.



N. 28. Szlak haftem płaskim i tamborkowym. Patrz ryc. 29.



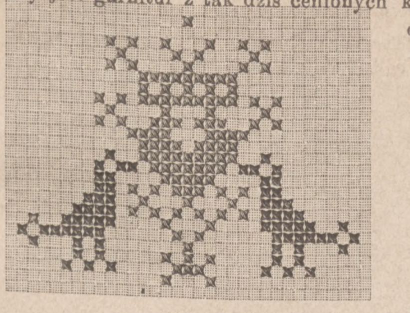
N. 27. Suknia krótka do przypięcia trenu. Patrz ryc. 43.



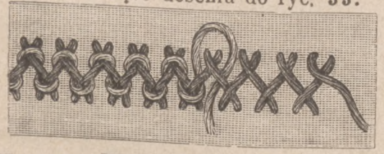
N. 31. Ubranie spacerowe z podwójną pelerynką. Patrz ryc. 43.

N. 42 Garnitur z koronek „duchesse.“

Do sukni z atłasu heliotropowego koloru, dodany jest garnitur z tak dziś cenionych koronek duchesse. Bawetowo zakończony gładki żabot, złączony jest z dużym kołnierzem podwleczonym cienkim drucikiem, ażeby mógł odstawać w sposób wskazany.



N. 32. Część deseniu do ryc. 33.



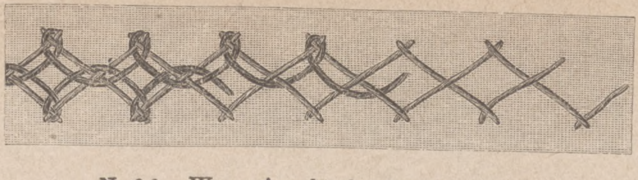
N. 37. Wyszycie przewiązywanych krzyżyków do ryc. 34.



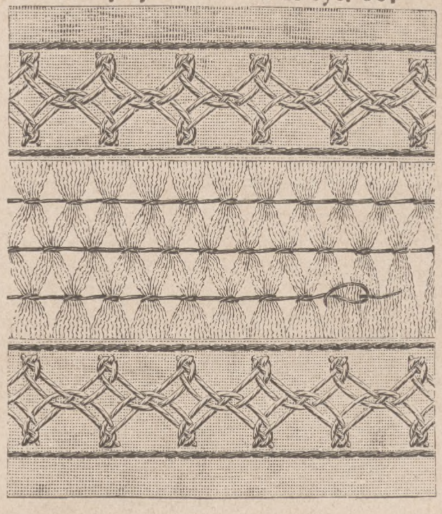
N. 38. Środek listka do r. 34.

N. 43 i 31. Ubranie spacerowe z podwójną pelerynką. Patrz przód na rycinie 31.

Suknia z wełnianego materyału jasno popielatego, w drobną kratkę, ubrana była repsem jedwabnym takiegoż koloru. Napowietrzna plisowana falbana przy spódniczce, zakończona jest 5 centym. szeroką plisą repsową. Świeżo i bogato wygląda środkowe przystrojenie części przedniej tuniki, złożonej z trzech jedna na drugą zachodzących części. Trzy rzędy ściśle przemarszczanych bufek repsowych, zakończone są u dołu pięciu na dół spadającemi puklami. prosty, 126 cent. długi bryt, przybrany w dolnej połowie wstawioną częścią z repsu, stanowi tylną draperyę upiętą w sposób wskazany na ryc. 31. Długa baskina z przodu zakończona jest 15 c. szerokiem w 3 plisy złożonem obłożeniem z repsu, które z boków przyszywa się guziczkami; plecy śpiczasto ścięte u dołu, dopełnione są z boków bufowaniem z repsu, zakończonem u dołu pięciu puklami. Odpowiednie ubranie zdobią mankiety i kołnierz; podwójna pelerynka z podłużnym wykrojem szyi objęta wypustkami ze sznureczkiem. Pukle z podwójnie złożonego repsu.



N. 36. Wyszycie szlaczku do ryc. 35.



N. 35. Kratka ażurowa i szlaczki do ryc. 34.



N. 33. Ręcznik z wyszyciem krzyżykowem.

N. 34. Ręcznik z wyszyciem i kratką ażurową.



N. 39. Część deseniu w guście dawnym niemieckim do ryc. 34. Patrz ryc. 35 — 38.

N. 44 — 45 i ryc. 28 w N-rze 25. **Ubranie** domowe albo spacerowe ozdobione haftem.

Obok fabrycznie haftowanych szlaków, trochę ozdobionych wyszyciem kolorem lub złotem, coraz więcej używane są do ozdoby sukien hafty maszynowe, lub ręczne krzyżykowe, ściegiem długim, łańcuszkowym i t. p. Ryc. 44 i 45 przedstawia 2 letnie toalety ozdobione sutym pospiesznym haftem, któren jednak zastąpić można szlakami drukowanemi lub tkanemi w guście wschodnim; zarówno plisowania jak i szlaki, zakończone są wypustką jedwabną z grubym sznureczkiem. Rycina 44 przedstawia suknię z lekkiego materyału, ozdobioną plisowanem falbankami oszytemi koronką i szlaczkami haftowanemi kolorowo, nad którymi wyszyte są figury, których deseń i rodzaj ściegu wskazuje rycina 28 w N-rze 25.



N. 40. Sukienka dla dziewczynki lat 3—5. Patrz ryc. 19.



N. 42. Kołnierz i mankiety z koronki „point duchesse."

N. 46. Suknia z fularu blado żółtego w rzucik w guście tureckim.

Przybrana atłasem niebieskawo pawiego koloru, z którego dane były cztery centymetra szerokie od spodu podszyte plisowanie, kołnierz, mankiety, pasek i kokardy. Przód i boki spódnicy od dołu na 46 centymetrów długości są w fałdy ułożone, nad któremi w górze dana jest draperya; prosty bryt tylny podpięty jest w górze dwa razy a od dołu spuszczony luźno. Bluzkowe przody stanika są paskiem przepasane, a gładkie plecki zakończone fałdowaną plisowaniem oszytą baskiną. Guziki w kształcie kulek z konchy perłowej nabijane złotem.



N. 41. Ubranie dla chłopczyka lat 3 — 5. Patrz ryc. 18.



N. 43. Ubranie spacerowe. Patrz ryc. 31.



N. 44—45. Ubranie spacerowe lub domowe.



N. 46. Suknia z fularu w deseń turecki.